ZARÁNIE

ŚLĄSKIE

KWARTALNIK

LITERACK

1902

ZESZYT I

ZAŁOŻYCIEL i WYDAWCA Dr B

OKŁADKA WZIĘTA Z „ŻYWOTKA“ STROJU „WAŁASKIEGO“ W CIESZYŃSKIEM.
PROJEKTOWAŁ PAWEŁ KLIMCZUK.
CIĄŁ W LINOLEUM BERNARD KOTULA.

SPIS

TREŚCI:

	Stronica:
Pamięci Kościuszki	1
Cele „Zarania“	3
Wiersze	5, 10, 18, 21, 36
Rozprawka o teatrze amat. na Śląsku (początek)	7
Obrazki prozą	30, 33
Monolog góralski w narzeczu z nad źródeł Olzy	37
Życiorys poety ludowego	12
Dramat, sztuka ludowa (początek)	23
Pieśni ludowe	41
Godka ludowa sztucznie opowiedziana	39
Ocena (Kłośni, O tańcach)	44
Materyały	47

AUTORÓW:

	Stronica:
Dybowski Roman, dr.	1
Farnik Ernest, dr.	23
Gil Karol	39, 47
Górniklewicz Wł.	7
Grim Emanuel	18
Hławiczka Andrzej	42, 43
Kotula Bernard	21
Kubisz Jan	5
Lebiedzik Józef	36
Obuszek Jan	37
Sikora Adam	10
Sikora Ludwik	12
Sznurowacki Jan	47
Szuścik Jan	30
Wolf Leon	33

ABONAMENT ROCZNY 4 K, PÓŁROCZNY 2 K 40, CENA POJEDYNCZEGO ZESZYTU W KSIĘGARNIACH 1 K 20, W ADMINISTRACYI 1 K.
(ADMINISTRACYA „ZARANIA ŚLĄSKIEGO“: CIESZYN, DWORKOWA 2. ŚLĄSK AUSTR.)

Przedruk tylko w celu zacytowania wyjątków dozwolony.

Sztuki i monologi drukowane w „Zaraniu“ odgrywać wolno, tylko na podstawie umowy z wydawnictwem, które według stosunków materyalnych sceny, żąda pewnego procentu z dochodu brutto na Bursę polską A. Mickiewicza w Cieszynie, o ile autorowie nie zastrzegą sobie nadto innych praw.

Manuskryptów nie wraca się.

Pierwszy zeszyt wyszedł z druku 15. X. 1907 w 90. letnią rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki.

Druk okładki i zeszytu wykonano w drukarni „T. D. N.“ P. Mitręgi w Cieszynie.

(Biały Ruch.)
(Czarny Ruch.)
4103/1

W 90. ROCZNICĘ ŚMIERCI KOŚCIUSZKI.

Z ROZMYŚLAŃ POLSKIEGO AKADEMIKA.

Dziś, gdy po kilku półroczach pracy uniwersyteckiej nad ukształceniem umysłu i woli, w rocznicę śmierci naszego Bohatera życie i czyny jego myślą przebiegam, ze skruchą sam przed sobą przyznać musiałem, że do niedawna jeszcze nie miałem należytego zrozumienia i idącego za niem uwielbienia dla tej przeczystej postaci. Marzeń moich ulubionym przedmiotem zdawna był książę Józef, który w swej olimpijskiej piękności, barwą, strojem, czarem ambicyi i szlachetności polskiego żołnierza posiadł dziecinną duszę, uderzając w najsilniejszą jej strunę, wyobraźnię. Wpatrywałem się energią młodej duszy w mglistą gwiazdę Napoleona, tytanicznego służalca własnej Pychy i marzyłem o wielkich, przewrotowych czynach. Dziś, po tych płomiennych, migotliwych meteorach dopiero weszło słońce, nasze dobre, niedościgle białe słonko polskiego poranku letniego, z niem niebo z namiętnego szafiru przeszło w skrząco-modrą, wesołą, pogodną biel pełnego dnia, i w świecie pojęć odkryły się świeże, zielone łany; po szorstkim szronie przedednia rzeźwy chłód poranku. I spoglądam na to słońce historyi naszej, na tę duszę białą jak siermięga, którą po swym największym czynie przyoblekł Naczelnik, — z religijną czcią i modlitwą o cnotę naśladowania. Widzę w Nim wzór niedościgniony prawdziwych jak kryształ cnót obywatelskich, złotolitej prawości. Widzę Króla naszych królów, widzę że Ten-ci a nie inny, to nasz wielki „polski Święty"... A widzę wszystkie strony tego dyamentowego ducha, oszlifowanego surowym piaskiem nieszczęść swoich i narodu. A więc widzę niezłomną, żelazną wytrwałość w pracy nad gruntownem wykształceniem się w swoim własnym żołnierskim zawodzie (w Brest), — najwznioślejszy przykład dla każdego kształcącego się młodzieńca polskiego po wszystkie czasy. Widzę dalej dokonane w młodości, przez szkołę a potem przez zaczątki życia napojenie duszy z dwóch zdrojów najżywotniejszej, najbardziej ożywczej kultury : z niespożytej tężyzny rasy amerykańskiej z jej wzniosłem, we wiekopomnym czynie oswobodzenia skrystalizowanem pojęciem państwa wolnych, dojrzałych obywateli, w którem i dziś jako jednoczącem w jednej wielkiej rodzinie narodowej, zdrowej nawskroś i potężnej, wielojęzyczną rzeszę dzieci przeżytego Starego Świata, upatrujemy centrum i przyszłość wszystkich największych duchowych i materyalnych dążeń naszej epoki, ich promienne urzeczywistnienie. Z potoku roztopionej stali ukuł Kościuszko i inni, z ówczesnej Europy najlepsi, olbrzymie kształty światowej dziś potęgi, i z tej stali w jego wielką duszę się nalało, a tam litem srebrem świętych uczuć pokryło. Drugiem zaś źródłem, z którego młodzień-

Sejm

czy duch Jego hojnymi napoił się potoki, — to owe wrzące gejzyry gotujących się w jego za czasów studyów otoczeniu — społeczeństwie francuskiem — wielkich idei rewolucyi, wybuchające grzmotem i wyrzucające wysoko w powietrze kamienie i gruzy starego porządku. I ta to dziejowa myśl, co dzięki złym ludziom krwawą chmurą zawisła nad nieszczęsnym krajem swego urodzenia i dziś jeszcze cieniem czarnej nawałnicy przelatuje nad państwami mętów i bezładu, — ona przepływa przez doskonały, nieskażony przyzmat tej jasnej jak szkło duszy, — zarazem przez filtry głębokich aentuzyastycznych umysłów, jak Kołłątaja, — i dzięki temu oczyszczeniu wschodzi nad niwami naszemi nie wichrem burzy, ale różanopromienną, złotą jutrzenką nieśmiertelnego powstania, tych wielkich acz bolesnych narodzin olbrzyma — uświadomionego ludu, który po tych młodzieńczych porywach i długiej nocy klęsk eziś jnż czyni, tworzy i działa rozważnie, uchwytnie. I oto w tej krystalizacyi idei rewolucyjnych w myśli, sercu i czynach Kościuszki dochodzimy do samego ogniska i jądra, gdzie się zbieżnie jednoczą promienie wszystkich wpływów wykształcenia, wszystkich samo-udoskonaleń woli: tem środowiskiem jest dwuskrzydły duch szczerej jak złoto miłości i białej jak śnieg czystości, dwóch podstaw i przewodnich przedmiotów jego charakteru i żywota. Tu istota jego świętości i doskonałości, i stąd właśnie płynie całe to życie, choć tyle weń krzywdy, zawody (Sosnowiec), i społeczne załomy (tragedya Księstwa Warszawskiego) leją cierpkości i goryczy, — całe ono mimo to płynie strumieniem szemrzącym aż do ujścia pogodnie, niemal wesoło, przeźroczyście i jasno jak nasze szmaragdowe stawy tatrzańskie, jak niewymownie przenikliwa dla oka toń złotego powietrza naszej cudnej polskiej jesieni.

Stąd też ta pewność, której nabywamy, rozpatrując to życie: od izdebki kadeta w Brzeście, którego stróż budzi o trzeciej rano do nauki, — do tryumfu Racławic, do krwawych pól maciejowickich, do spokojnego zachodu słońca na wolnej ziemi, w Solurze, gdzie starzec — dobroczyńca, czysty jak dziecko, dzieci koło siebie gromadzi i z niemi sią cieszy, — pewność więc, kojąca nam duszę, że według słów tego, co najlepiej postać Naczelnika odczuł i uczcił: „Kto za Polskę krew przelewa“, — czy krew ran, czy serdeczną krew ducha, myśli i pracy, — „temu będzie widno“. *Dr. Roman Dyboski.*

ZARANIE ŚLĄSKIE

ZESZYT 1. PAŹDZIERNIK, 1907. ROK I.

SŁOWO OD WYDAWCY.

Cele, jakie sobie wytknęło Zaranie śląskie, są:

Ogłaszanie udałych utworów młodej Muzy śląskiej, szczególnie takich, których temata zaczerpnięte są z życia ludu śląskiego, a przez to samo rozwijanie pracujących już talentów, rozbudzanie innych, wskazywanie im tematów i dróg literackich.

Ogłaszanie bezimiennych utworów ludu śląskiego, jak opowiadań, bajek, fraszek, pieśni wraz z melodyą, opisywanie i utrwalanie starych zwyczajów, tańców, strojów śląskich i t. p. Nie jedynie wartość folklorystyczna rozstrzygać będzie o wydrukowaniu utworu, lecz przedewszystkiem wartość literacko-artystyczna. Rzeczy piękne, niechaj wracają tam skąd przyszły: między lud. Chodzi więc o oddanie i uchwycenie artyzmu w stylu ludowym.

Umieszczając utwory pisane narzeczem ludowem, Zaranie chce wykazać temu ludowi, że język jego jest językiem żyjącym, że wstydzić się go niema potrzeby, że winien go pielęgnować i ochronić przed naleciałościami, — bo tylko ten język zbliżyć go może do skarbów języka polskiego, zaklętych w słowach naszych Wieszczów — jak niemniej umieszczając utwory pisane gwarą ludową, Zaranie chce zadać kłam mniemaniu, jakoby narzecze śląskie było jakiemś zwyrodniałem narzeczem.

Nie zapomni Zaranie również i o teatrach amatorskich. Przez ocenę działalności tych teatrów i przez wskazywanie amatorom najodpowiedniejszych sztuk, chce przyczynić się do rozwoju teatrów ludowych.

Zaranie będzie także umieszczało ocenę niektórych dzieł literackich w zakres programu jego wchodzących.

W oryginalnych rzeczach z ust ludu spisanych, lub przez kogoś z ludu dyalektem spisanych, Zaranie zachowuje ortografię gramatyczną tam, gdzie ona nie odbiera wyrazowi cechy ludowej. Dlatego też nie przeprowadza ani pisma fonetycznego ludowego ani gramatycznego konsekwentnie, podobnie odnosi się do form i zwrotów. Naleciałości obce usuwa, uwzględniając je tylko wyjątkowo tam, gdzie noszą piętno charakterystyczne lub nie dadzą się bez uszczerbku dla treści zastąpić. Wszędzie stara się Zaranie zachować utworom cechy miejscowe.

Materyały o ile wpłyną do redakcyi drukować będzie Zaranie ile miejsca starczy w osobnej rubryce p. t. Materyały, resztę odsyłać będzie do fachowych czasopism folklorystycznych polskich.

Wydawnictwo składając łaskawym współpracownikom serdeczne dzięki za pomoc dotychczasową, zaprasza i innych, w zakresie programu Zarania czynnych, do łaskawego współpracownictwa.

Jan Kubisz.

NIEMOGLIŚCIE JEDNEJ GODZINY CZUĆ ZE MNĄ?

Nad górą Oliwną blady księżyc wschodzi,
Płynie po tle czystem, to znów tonie w chmurach,
I przez nie przegląda jak w cierpień koronie;
I znowu wychodzi i światła promienie
Wiesza po starych drzewach Getsemane,
Co pamiętają czasy Dawidowe;
I swoje promienie rozrzuca na fale
Potoka Cedron,
By je oczyścić
Z brudów ziemi,
Które potok zabrał, płynąc przez dolinę.
Cisza w ogrodzie. Natura cała
Wstrzymuje oddech,
Jak człowiek, który czeka wielkiego zdarzenia.
Jakieś postacie
Ciche, milczące
Kierują kroki swoje do ogrodu.
A księżyc jasną oświeca pochodnią
Ścieżkę,
Aby się w drodze nie potknęła noga.
To Mistrz i jego dwanaście!
Idą.
A tam, gdzie drzewa już gęściej stanęły,
Odłącza się jeden od grona
I znika w nocy ciemnościach!
Tak ginie perła,
Co z sznura korali
Odrywa się i pada na ziemię...
I przeszli potok. A mistrz rzekł do rzeszy:
Zostańcie i czuwajcie i módlcie się ze mną!

Rzekł, odszedł o staję
I modlił się!
I świętą modlitwą
Oblekał duszę

Niby jasną, słoneczną Anioła szatą,
Aby w niej stanąć do wielkiej ofiary!
Modlił się. Ale myśl zbawienia
Całym ciężarem grzechów lat tysiąca
Obciążona, tak silnie upadła na duszę,
Że w dźwigania pracy
Po twarzy
Potu krople ściekały krwawe.
A moc ciężaru
Rośnie, olbrzymieje,
Gdy dusza sama czuć musi i cierpieć!
A więc Zbawiciel wstaje od modlitwy,
Idzie do uczniów, aby się posilić
Ich współmodlitwą, ich szczerem współczuciem.
Lecz oni spali... a on sam pozostał
Z myślą zbawienia, z uczuciem mąk krzyża!
On sam pozostał wśród śpiących spokojnie,
Podczas gdy kapłan najwyższy, kapłani
Aby na niego skutecznie uderzyć;
Podczas, gdy kapłan najwyższy, kapłani
I starsi z ludu i faryzeusze,
O tem radzili, jakoby go zabić;
Podczas gdy Judasz staje im do usług
I Mistrza swego obiecuje wydać!
A oni spali! — Czegoż on chciał od nich?
Tylko współmodlitwy!
Tylko współczucia!
A więc je budzi i rzecze z boleścią:
„Nie mogliście jednej godziny czuć ze mną?“ —

. . . . . .

Bracie! co kochasz twą ziemię
Chrystusa świętą miłością,
I chciałbyś ją zbawić
Z ucisku wroga i podnieść z upadku:
Czemu narzekasz, iżeś sam, jedyny,
I że cię wszyscy w pracy opuścili?
Czemu narzekasz, że cię nie pojmują
I w wielkiej pracy ty stoisz sam jeden?
Wszakże nie wszystkim dano wzrok przyszłości,
Nie wszyscy wiedzą, co dla dobra służy.

Czemu narzekasz, iżeś zdrady doznał
Od tych, co tobie mieli być pomocą?
A twoi bracia śpią sobie bez troski,
Gdy twoje wrogi twój upadek knują?
Módl się i działaj!
A pracy Ducha
Nie rozdzielaj ziemskich jednostek miarą!
Módl się i działaj!
A gdy kielich poświęceń wychylić wypadnie,
Anioł miłości
Zestąpi z nieba
I gorzkość osłodzi napoju!

Wł. Górnikiewicz.

TEATR AMATORSKI NA ŚLĄSKU.

I.

Ze względu na szybki rozwój teatrów amatorskich u nas na Śląsku w ostatnich czasach, bo dziś prawie każda większa wioska go posiada — warto się zastanowić nad jego znaczenicm, rozwojem, nad tem, co stanowi jego istotę i nad tą rolą, jaką on w naszych opłakanych stosunkach narodowościowych odgrywa.

Dla kogo zakładamy teatr amatorski na wsi?

Prosta odpowiedź; dla tych, którzy nie posiadają ni należnego wykształcenia, by zrozumieć większe utwory sceniczne, ni na tyle pieniędy, by jechać gdzieś dalej na przedstawienie teatralne.

Jednem słowem dla tych, którzy do dziś nie widzieli jeszcze sceny, aktorów, ni akcyi dramatycznej.

Dla nich stworzyć tanią a dobrą rozrywkę, uprzystępnić im szersze widnokręgi zdrowej oświaty — oto pierwsze zadanie teatru amatorskiego.

By temu zadaniu sprostać, musimy starać się o prawdziwie ludowy, łatwy szerszemu ogółowi naszej ludności do zrozumienia, — repertuar. — Trzeba bowiem mieć na myśli nieustannie tę dewizę:

Teatr amatorski ma nasz ludek śląski zdrowo i narodowo wychować!

Musimy więc dobierać sztuki takie, kóre posiadają i formę i treść jasną, prostą i dla ludu łatwo zrozumiałą. Teatr bowiem posiada najlepsze i najprzystępniejsze środki do szerzenia idei i zasad. Nic lepiej nie wpływa na budzenie myślenia i zastanawiania się nad różnemi ideami, jak właśnie akcya dramatyczna. Ona pociąga w swój świat nawet tych, któizy mało i ciężko myślą...

Scena uświadamia mimowoli szerokie warstwy ludu i przyczynia się do złagodzenia jego obyczajów.

Unikać tedy trzeba tego wszystkiego, coby obniżyć mogło poziom uczuć i myśli ludu.

Teatr amatorski jest budzicielem, krzewicielem idei, oraz wychowawcą ludu. Aby go wychować, musi on swą całą działalnością objąć duszę ludu, wszystkie fazy jego życia i działania, jego zwyczaje, nawyczki i błędy. Jednem słowem całe życie fizyczne i duchowe ludu naszego.

Mając spełnić to zadanie, musi teatr amatorski u nas na wsi dawać sztuki, w którychby odzwierciedlało się życie ludu, jego obyczaje i charakter, a któreby równocześnie karciły złe jego strony z powagą i siłą.

Nie można jednak dawać zbyt dużo komedyj lub sztuk niby ludowych, „lekkich". Wiele z nich bowiem płytkością swych myśli, brakiem szerszej akcyi dramatycznej i wątku idei przewodniej, poprostu ośmiesza zadania teatru amatorskiego, obniża jego znaczenie i odstrasza lud od niego.

Tosamo da się powiedzieć i o sztukach alegorycznych i klasycznych, w których ukryta między wierszami myśl przewodnia lub idea trudną jest dla naszego ludu do zrozumienia. Z tych sztuk lud nasz pożytku nie odnosi żadnego lub bardzo mały.

Zato z całym naciskiem powinien teatr amatorski wystawiać u nas sztuki ludowe z muzyką i śpiewem. Każdy bowiem przyznać musi, że dla ludu potrzeba muzyki i tego nastroju, jaki śpiew z muzyką szlachetną wytwarza. Po ciężkiej pracy w polu lub przy warsztacie fabrycznym, nieodzowną rozrywką dla ludu jest muzyka. Ona podnosi, nastraja weselej dusze ludzkie i sprawia, że treść przedstawienia silną falą uderza w serce i duszę ludu. Muzyka czyni człowieka przystępniejszym dla szlachetnych i wzniosłych idei i myśli.

Muzyka to jednak musi być podniosła, szlachetna, by mogła pociągnąć w wyższe, duchowe sfery, ludowego słuchacza i nastroić go na ton stosowny.

Dusze ludu naszego, to owe kamienie, które łatwo poruszają dźwięki lutni Orfeusza...

Wiedząc jakim odłogiem leży nasza śląska niwa narodowa, szczególniejszą uwagę zwrócić musimy na sztuki ludowe narodowe.

Teatr nasz amatorski może przysłużyć się ogromnie do rozwoju idei narodowej na Śląsku graniem od czasu do czasu sztuk patryotycznych, ludowych; on w niedługiej przyszłości zmieni całkowicie duchową postać i sposób myślenia szerokich warstw naszego śląskiego ludu.

Scena ludowa amatorska grywaniem sztuk narodowych ma dobrą sposobność do uświadamiania ludu śląskiego w zakresie dziejów polskich

Zaznajomić go może z zabytkami, obyczajami, mową i strojem innych dzielnic Polski i wpoić weń świadomość, że tworzymy jedną narodową całość — polski naród — czy to mieszkając nad Wisłą czy Wartą, nad Odrą czy Ślęzą, nad

Olzą czy Ostrawicą. Scena ludowa amatorska wykorzeni może te separatystyczne, dzielnicowe, zaściankowe polityki i dążenia a stworzy — duchową jedność z Polską.

By ułatwić słuchaczom zrozumienie granych sztuk, winien teatr amatorski objaśnić treść trudniejszych sztuk przed ich zaczęciem. Tym sposobem odda nieocenione usługi tak samemu sobie, jakoteż i słuchaczom, którzy łatwiej i jaśniej będą sobie zdawali sprawę z odgrywanej akcyi i szybciej zaabsorbują te dobre myśli i tezy, jakie z sztuki popłyną w ich dusze i serca.

II.

Zestawić choćby tylko pobieżnie repertuar dla teatru amatorskiego u nas na Śląsku jest rzeczą nader trudną. Posiadamy bowiem zupełnie odmienne warunki życiowe, kulturalne i ekonomiczne od reszty dzielnic Polski, wskutek tego nie wszystkie sztuki ludowe z Galicyi nadają się dla nas i naodwrót.

Mamy także ogromnie mały zasób i wybór sztuk prawdziwie ludowych.

Jedne, niby o charakterze ludowym, są tak banalne swą treścią i myślą, jakoteż i ubogie w akcyę sceniczną, że grać ich nie można. Inne znowu, są jak na teatr amatorski za obszerne i posiadają — jak na wieś trudną sceneryę.

Jest tylko kilka sztuk, które naszym wymaganiom i stosunkom śląskim odpowiadają, ale też po ujrzeniu desek i ścian sceny przechodzą w niezasłużony stan spoczynu, bez przekazania nam swych następców...

Nie mamy dramaturgów ludowych!

Lecz nietylko na polu braku wyboru stosownych sztuk ludowych spotykamy się z trudnościami; o wiele może trudniej jest znaleźć przodownika w tej pracy zakładania, utrzymania i rozwoju teatru amatorskiego na wsi.

Jednych odstrasza praca, drugich „polskość“ teatru. Bo w naszych teatrach amatorskich, kierownik jego musi być: dyrektorem, reżyserem, kostjumerem, dekoratorem, tapicerem, fryzyerem, suflerem, rozpisywaczem ról, aktorem, kasyerem, bankierem i sprawozdawcą — teatralnym!

A to nie łatwe zadanie...

Któż tyle zaszczytów ma objąć na wsi? — Nauczyciel!

I jeśli dziś na Śląsku posiadamy tyle teatrów amatorskich, spełniających godnie swe zadanie i posłannictwo, to zasługa w wielkiej mierze nauczycielstwa ludowego, śląskiego. Pojęło ono swą pracę w tym kierunku zaszczytnie, godnie jego nazwy: nauczycielstwo ludowe.

Wielką przeszkodą jak dotąd, w rozwoju teatrów amatorskich na wsi, jest brak szatni, obfitujących w kostyumy. Wprawdzie posiadamy centralę taką w Łazach, lecz ta zbyt jest małą, by mogła zapotrzebowaniu zadosyć uczynić. Nieraz, gdy kilka teatrów amatorskich wraz gra, brak kostyumów w Łazach i nieraz trzeba ich gdzieindziej szukać.

Lecz gdzie?

Teatr krakowski postanowił — chyba na zrujnowanie naszych teatrów — nie wypożyczać strojów, a gdy je pożyczał, to drogo (4 K od stroju), co w wydatkach, przy małych dochodach, poważną nieraz sumę stanowiło. Innej szatni teatralnej niema, wskutek czego niejeden teatr na wsi, skazany jest na „dolce farniente", bo większych sztuk grać nie może z powodu braku strojów.

Braki te jednak usunie w przyszłości, siłą faktu — rozwój teatru amatorskiego; pomału znajdą się może i zasoby i siły do zakładania coraz to nowych teatrów amatorskich śląskich, by te wiernie służyły ideałom i pojęciom ludu polskiego na Śląsku. (C. d. n.)

Adam Sikora.

(Wiersze układane przed 50 laty, niedrukowane jeszcze).

1. DO MŁODUCHY.

Kochana młoducho, stan ci się przemienia,
Teraz z ciebie będzie ładna gospodynia,
Teraz będziesz miała klucze w swojej mocy,
Będziesz się musiała starać we dnie, w nocy.
Ale co ci powiem, słuchaj mojej rady,
Nie będzie na tobie nigdy żadnej wady.
Najprzód kochaj wiernie małżonka swojego,
I na włos wypełniaj dobry rozkaz jego.
Strofuj i nauczaj uprzejmie czeladkę,
By cię poważano, jako dobrą matkę.
Skoro się przebudzisz rano, prędko wstawaj,
Wszystkim domownikom dobry przykład dawaj.
Chwyć się zaraz zrana zręcznie swojej sprawy,
I nie gotuj nigdy na śniadanie kawy —
Boć to nie należy sprostym gospodarzom,
Ale tylko dworskim i pańskim kucharzom.
Nagotuj wodzionki z chleba razowego —
Czem cię Bóg pożegna, bądź kontentną z tego.
Nie sprzedawaj nigdy podaremnie zęby,
Jak się zechcesz wadzić, wlej wody do gęby.
Nie czyń sobie nigdy dostatniej wygody,
Nie noś wieszotorów podług każdej mody.
Nie kochaj pochlebcy, bądź oszczędną wszędzie,
Każdy z domowników wychwalać cię będzie.
Ubogie dziateczki przytulaj do siebie,
A to będzie dobra gospodyni z ciebie.

2. KRAKOWIAK DLA OCHOTNIKÓW.

Kuraźni chłopacy! na wojnę pójdziemy,
Za ojczyznę naszą wojować będziemy.
Na to mamy zdrowie, na to mamy siły,
Byśmy za ojczyznę z ochotą walczyli.
Próżno się namyślać, próżno ściskać pleca,
O zwycięstwie mówić, a siedzieć u pieca.
Trzeba się na nogi postawić z kurażą,
Wziąć do ręki pałasz, karabin pod pażą.
Postawić się śmiele z jaśniejącem czołem
I mężnie zwyciężać nad nieprzyjaciołem.
Kto takiej odwagi mężnej mieć nie będzie,
Niech raczej u pieca w domu kądziel przędzie.
My pójdziemy śmiele, choćby i krew wylać,
A niebieski hetman będzie nas posilać.

o o o

3. DO NIEZGRABNEJ.

Dziewczyno kochana, tańczyć z tobą miło,
Jużby się koniecznie wydać trzeba było.
Namówię ja tobie z Nieledwie parobka,
A to będziesz miała statecznego chłopka.
Będzie umiał fajczyć i koszyki splatać,
Będzie umiał gunie i kopyca łatać.
Będzie miał opasek aż pod same paże,
Będzie umiał tańczyć, ale bez kuraże.
Będzie miał pod karkiem sznureczki czerwone,
Zanadrze do korzon zawsze otworzone.
Będzie miał kapelusz czarny o dwóch rogach,
Będzie nosił brudu na palec na nogach.
Będzie w szynku siedział, jako jaki bogacz,
Powiedz mi, dziewczyno, czy go będziesz kochać?

o o o

4. DO LENIWEJ.

Nadeszedł mięsopust, dziewczyno kochana,
Trzeba sobie szukać jakiego galana.
Potrzeba ochoty i kuraży przydać,
Ażebyś się mogła w ten mięsopust wydać.

Trzeba podnieść ręce i rozruszać pleca,
Bo nikt cię nie będzie namawiał u pieca.
Trzeba sobie dobrze nasmarować nogi,
Boć teraz parobek każdy bardzo drogi.
Teraz nie potrzeba pieniędzy, ni chaty,
Gdy tylko będzie miał na sobie galaty.
Choćby się okrywał płóciennym żuponem,
To przecie obierze sobie ładną żonę.
Napominam ciebie, ile tylko mogę,
Jak będziesz leniwa, zostaniesz przyłogiem.

ŻYCIORYS ADAMA SIKORY

TKACZA-POETY Z JABŁONKOWA.

Napisany przez syna jego, Ludwika Sikorę, krawca w Jabłonkowie.

Adam Sikora, poeta ludowy, urodził się w Jabłonkowie w dzień po św. Łucyi roku 1819.

Ojciec jego, Adam, był z zawodu tkaczem. Matka naszego poety była Marya, z rodu Lipowskich, niewiasta cicha i bogobojna, która wraz z mężem swoim łagodnością i uprzejmością przywiązywała wszystkich do siebie. Wychowanie dziatek po Bożemu było ich najważniejszem staraniem, a całe pożycie domowe było urządzone po chrześciańsku.

Oprócz rzemiosła posiadali oni jeszcze kawałek pola swojego i tę skromną chatkę, w której mieszkali. Tutaj życie od wczesnego ranka aż do późnej nocy płynęło pośród błogiego pokoju. Śpiew pieśni nabożnych wśród dnia osładzał życie i dodawał wytrwałości w pracy i w codziennym trudzie. Szczególniejszem u nich było to współczucie, jakie posiadali ku biedniejszym jeszcze od siebie, czy już to użyczyć schronienia na noc, czy też kawałkiem chleba się podzielić. Osobliwie zaś w święta uroczyste, w Wigilią Bożego Narodzenia już przed czasem sobie kogoś zaprosili do stołu na te dnie. A były wtedy wogóle nieszczęśliwe czasy, albowiem nasze okolice zostały w ten czas kilkakrotnie dotknięte przez nieurodzaj, który spowodował znowu głód i który osobliwie tym biednym najbardziej dokuczał, którzy, aby tylko głód zaspokoić korę z drzew i różne trawy gotowali. Następstwem tego zaś były znowu zaraźliwe choroby, na które dziesiątki ludu umierało. Wiele to pozostawało sierót, z których nasi Sikorowie nie jedną do siebie przygarnęli, póki któremu jaka dalsza opieka się nie znalazła.

Z ich własnych dzieci najstarszy, nasz Adam Sikora, w ósmym roku życia zaczął uczęszczać do szkoły. Była to w ten czas szkółka parafialna o dwóch klasach, nauczyciel starszy Konert, był zarazem i organistą przy kościele, młodszy nauczyciel był Sztwérak, katechetą zaś był ks. Baar.

Uczęszczając nasz Adam chętnie do szkoły zwracał swą pilnością i swemi zdolnościami uwagę swych nauczycieli, którzy też ówczesnym zwyczajem nagrodami odznaczali swego ulubionego ucznia. I tak zaraz w pierwszym roku otrzymał książkę w nagrodę pod tytułem „Książka modlitewna dla katolickiej młodzieży od pewnego księdza świeckiego dyecezyi Wrocławskiej austryackiego cesarskiego królewskiego Ślońska w Cieszynie roku 1823". Autor podpisany J. K. Ksiądz świecki w przemowie do niej pisze: „Wydałem dla was kochane dziatki młodzieniaszkowie i panienki tę książkę, a to we waszym polszczyźnie bliższym języku". Książka ta znajduje się także w bibliografii druków polskich ks. Cieszyńskiego, ks. Józefa Londzina.

I tak dalej przez cały przeciąg czasu uczęszczania swego do szkoły otrzymywał on rok rocznie jakąś nagrodę za pilność i dobre zachowanie się. Spostrzegłszy u chłopca niezwykły talent, radził ówczesny dziekan jabłonkowski ks. Piontek, aby go posłać do szkół dla dalszego kształcenia się i byłby też chłopak dalej chętnie się uczył. Jednak rodzice Adama widząc w nim najlepszą swego ubóstwa podporę, nie mogli się z nim rozstać i tak pozostał Sikora w domu rodzicielskim, ucząc się rzemiosła tkackiego.

Młodzieńcze jego lata mijają w pośród rówieśników przy niewinnych zabawach i uciechach we wolnych chwilach. W tygodniu każdy pracą zajęty, latem od godz. czwartej zrana do samego zmierzchu, a zimą od godz. piątej rano do dziewiątej wieczorem. Wyjątek stanowiły tylko soboty i dnie przed uroczystemi świętami, w których to dniach już przed wieczorem kończono pracę za warsztatem i przygotować się na jutro żaden nie omieszkał. Były też i na te wieczory różne już prace stale ustanowione. I tak poprawa narzędzi i różnych sprzętów domowych, dalej łupanie szczyp i lanie łojowych świec do oświetlania domostwa, topienie siarki, maczanie w niej drzazg, które zastępowały dzisiejsze zapałki i t. p. prace, wszystko to miała młodzież na swojej staranności i jeden od drugiego się tego nauczył.

W niedzielę znów i święta po nieszporach latem bawiono się ochoczo gromadnie na pobliskiej polance Skotni w różne gry, i jeżeli który zagrał na skrzypkach lub zapiskał na piszczałce, to sobie i potańczono na murawie i zaśpiewano wesoło. Były to zaiste nie ubliżające czci ani zdrowiu zabawy.

Przy uroczystościach kościelnych, jako to w ostatnie trzy dni Wielkiego tygodnia, w uroczystość Bożego Ciała i w oktawę całą, młodzież ta ubrana w lśniące od srebra mentyczki i zielone aksamitki trzymała straże i towarzyszyła w procesyach.

We wszystkiem tem bierze udział nasz Adam Sikora, a jego zdanie i słowo wypowiedziane pomiędzy współtowarzyszami ma takie znaczenie, że w razie nie-

porozumień pomiędzy nimi spór łagodzi, a oni go też usłuchną, on zaś za to coś na uciechę znajdzie opowiedzieć lub jakąś zwrotkę, do tej okoliczności stosowną, zaraz zaśpiewać.

Nie znajdzie się w Jabłonkowie, ani w okolicy jego, familia, z którejby bodaj jeden lub drugi członek nie odbył pielgrzymki do Kalwaryi i Częstochowy; to też i nasz Adam parę razy w młodości odbył te pielgrzymki, nie zaś koleją, jak to dzisiaj się odbywa, ale pieszo tam i napowrót, a była to także ta droga, którą niejedna książka lub pieśń nabożna polska do rąk Jabłonkowian się dostała.

Kiedy nasz Adam miał lat 22, umarł mu jego ojciec, w r. 1841. Na syna teraz przyszła kolej starać się o matkę i rodzeństwo; i prawdziwie po synowsku opiekował on się swoją matką, która nieraz przed przyjaciółmi lub sąsiadami z łzami w oczach dziękowała Bogu, że dał jej tak dobrego syna, i za jej to tylko namową i prośbą dał się nakłonić do zamienienia swego swobodnego stanu Sikora.

W roku 1845, mając lat 26 pojął sobie za małżonkę Annę z domu Płoszków liczącą lat 21.,

Młodzi ci małżonkowie mając zdrowe nauki i dobre przykłady od swych ojców, byli też tem samem odzwierciedleniem ich życia bogobojnego, pracowitego i uczciwego.

Rok 1846. był pamiętny dla Jabłonkowian; po raz pierwszy miał przybyć do miasteczka biskup, udzielać św. Sakramentu bierzmowania. To też wszyscy, wielcy i mali, bogaci i ubodzy na tę rzadką uroczystość się gotowali i nasz Sikora wyjechał z konną banderyą na powitanie tego księcia biskupa i w dniu 11. lipca obaj ci młodzi małżonkowie tenże sakrament św. zarówno z innymi przyjęli.

Rok 1847. był znowu początkiem szeregu nieszczęść i klęsk, które nawiedziły miasteczko, okolicę i jej mieszkańców. W dniu 9. czerwca, w oktawie Bożego Ciała spaliła się jedna trzecia część miasteczka, nieurodzaje w polu i powódź spowodowały głód i następstwem tego była straszliwie grasująca choroba, na którą dziesiątki ludu pomarło. Rodzina Sikory z tego ocalała, z wyjątkiem brata Adamowego, który także na tę chorobę umarł.

Rok 1848. i w Jabłonkowie dał się odczuć. Przechodzi pięćdziesiąt tysięcy austryackiego żołnierza naprzeciw powstańcom węgierskim. W samem mieście z rozporządzenia cesarskiego w dniu 18. kwietnia powołano do utworzenia gardy nacyonalnej około 80 obywateli, porozdawano broń, i obowiązkiem ich było uczyć się robić nią i do tego kolejno straż w mieście i poza miastem odbywać. Że w takich okolicznościach wszelka regularna praca ustała, łatwo sobie pomyśleć, a przez to znów bieda i niedostatek pomiędzy ludem się lęgły. I nasz Adam Sikora sprawował urząd jednego z dziesięciu wybranych gardzistów do spólnej rady. W tymże też czasie utworzył i napisał po pierwszy raz w całości o kilkunastu zwrotkach pieśń okolicznościową do gardzistów.

Pieśń ta, na równi z wielu innymi pieśniami świeckiemi spaliła się przy pożarze domu rodzinnego Sikorów w r. 1890. Mogłyby się te piosnki jeszcze znaleźć,

gdyby się odnalazł manuskrypt pieśni różnych Sikory, który od brata jego w roku 1873, otrzymał bawiący wtenczas w Jabłonkowie ks. Ign. Świeży.

W roku 1855. piątego października umarła matka Sikory.

Pożycie familijne Adama Sikory było tak samo, jak już na początku pisano o jego rodzicach, bogobojne, pilna praca połączona z codziennem uczęszczaniem przynajmniej jednego z domowników na mszą św. do kościoła, ze śpiewem pieśni nabożnych rano wśród dnia i wieczorem, z tą tylko różnicą, iż z wzrastającą familią i coraz większym upadkiem rzemiosła tkackiego, równocześnie coraz większa potrzeba i większa starość co dzień się wzmagały.

To też, skoro tylko które z podrastających dzieci potrafi węzełek na nici zrobić, już jest pomocą w pracy, a cała ta familia przy usilnej pracy od wczesnego ranka, aże do wieczora nie może więcej nad 1 złr. 20 ct. do 50 ct. przez cały tydzień zarobić. Ażeby zakupić przędzy potrzeba było na parę dni z domu się wybrać do okolicznych wiosek i dalej poza granicę do Węgier, „do Słowiok“ i do pobliskich wiosek w Galicyi. Potrzeba było od chaty do chaty się zgłaszać, a to zawsze zimową porą, z przędzą na barkach w nóżce, lub też na sankach do domu sprowadzić. Nieraz rzęsisty pot lał się z czoła pod ciężarem, choć kołem śnieg pada i mróz silny i wiatr dmie.

Mimo tego było się nieraz trzeba zadowolić kawałkiem tylko chleba lub owsianego placka.

Wszystko to jest udziałem i naszego Sikory. On zasie, kiedy w niedzielę i w święta, przyszedłszy po zakończonem nabożeństwie z kościoła do domu, kiedy inni używali sobie spoczynku, siada do stołu i pisze i spisuje do całości wiersze, które wśród tygodnia przy pracy był sobie ponotował na kawałkach papieru, a gdy wieczorem przychodzą sąsiedzi lub krewni i znajomi, zasiadają na ławach latem na podsieniu, a zimą około pieca i gawędzą, nasz Sikora zawsze potrafił coś zajmującego opowiedzieć, a kiedy otrzymał wypożyczoną od ks. wikarego Szczygła do przeczytania Gwiazdkę cieszyńską, to już wszystko opowiedział, co wyczytał nowego. Nie było jeszcze w ten czas kolei ani telegrafu u nas, poczta tylko parę razy w tygodniu przywoziła, a poseł raz w tygodniu w sobotę zaszedł do Cieszyna. Od czasu do czasu przychodzili kupcy z Orawy po płótno, i ci chodząc po świecie, zawsze też coś przynieśli nowego.

Nasz Adam Sikora korzysta ze wszystkiego: gdy co nadzwyczajnego słyszał lub wyczytał, zaraz użył tej okazyi, ażeby to zastosować i ułożyć w pieśń. I tak kiedy córka arcyksięcia Albrechta, Klotylda, spalila się we Wiedniu, on tutaj układa sobie pieśń, w której boleje nad tragiczną śmiercią tej tak młodej dziewicy i cieszy w niej ojca stroskanego. Kiedy budowano pierwszą fabrykę przędzalną w przysiołku miasta w Sigle, on w pieśni swej dziękuje przedsiębiorcy za to nowe źródło zarobku dla ubogiej ludności i zachęca nią tenże ludek do pracy we fabryce. Budują gdzieś szkołę w pobliskiej okolicy, on zaraz w swojej pieśni raduje się, że przybywa nowe ognisko oświaty. Kiedy uczczono krzyżem zasługi długoletniego

nauczyciela w szkole miejskiej Jabłonkowa, on znów w swojej pieśni dziękuje mu za jego żmudną pracę około dziatwy szkolnej i dziękuje cesarskiemu staroście zarówno za przybycie i oddanie tego zaszczytu monarszego. Przyjeżdża do Jabkłonkowa ks. biskup, on swą pieśnią wita dostojnego arcypasterza i tak na każdym niemal kroku znajduje okazyę i treść do pieśni, zaraz takową układa, pisze i podaje do śpiewania.

A kiedy dziatki jego przychodzą z prośbą do niego: ojcze ułóżcie nam powinszowanie dla ks. katechety lub p. nauczyciela albo też dla którego z krewnych na imieniny, nie odmówił im tego nigdy; uśmiechnął się tylko, a w najbliższą niedzielę kiedy poprzychodzono z nieszporów zawołał do siebie jedno z dziatek, umiejące już czytać i znów wszyscy słyszeli i mogli zaśpiewać piosenkę nową.

Takim sposobem powstały: *Kolęda Pastuszków*, *Przychód św. Trzech króli*, *Pieśń o św. Dorocie*. U siebie potem chłopców wraz ze swemi dziećmi w domu wyuczał śpiewania tych pieśni za jego wskazówkami, razem sprawiali i lepili, co im do tego grania było potrzebnem, a przy tej okazyi nie jedną piękną powiastkę na zakończenie im opowiedział lub też na jakąś zabawę w pomieszkaniu pozwolił.

Pewnego razu przychodzi doń najmłodsza w ten czas jego córka Rozalia i mówi: Ojcze dla każdego z braci moich ułożyliście pieśń o pastuszkach i dla mnie też ułóżcie! Tak powstała pieśń Dzieci (kolęda 29*), w której przez Różę daje śpiewać o swem ubóstwie i każe nieść kwiatki w darze Jezuskowi.

W najbliższym sąsiedztwie Sikory naszego, mieszkał przeszło ośmdziesiąt letni staruszek J. Paduch u swego syna na wymowie; byli to pomimo różnicy wieku wierni społu przyjaciele. Miał tenże staruszek taką cześć i takie zamiłowanie dla św. Krzyża w Górnej Łomnej, że pomimo swego podeszłego wieku co niedziela przy możliwie tylko sprzyjającym czasie pogodnym tamże podróżował.

Na jego prośby i życzenia ułożył i napisał Sikora te piękne pieśni o św. Krzyżu w G. Łomnej, które też nakładem tego staruszka drukowane zostały.

Drugim dobrym przyjacielem naszego Sikory, chociaż znów nierówny co do stanowiska i majątku był A. Poloczek, mieszczanin, mąż przyjacielski i życzliwy, a będąc pierwszym śpiewakiem przy kościele, nieraz on te pieśni naszego Sikory zaśpiewał, czy już to w drodze idąc na odpusty, czy też i w kościele, czem naszemu poecie zawsze wielką uciechę i ukontentowanie sprawił i nowej znów zachęty dodał.

Bo chociaż coraz większa starość o utrzymanie familii go dociska, a zdrowie jego bardzo słabe nie pozwala na tak usilną pracę, jakby było potrzebnem, on nie szemrze, nie narzeka, nie uskarża się, ale w cichej cierpliwości nie tylko, że sam siebie uspakaja, ale i swych przyjaciół lub sąsiadów, jeżeli którego jakie utrapienie dotyka, do cierpliwości i znoszenia tego krzyża zachęca, podając przykłady ze słyszanych nauk i kazań w kościele, lub też z przeczytanych przez siebie książek nabożnych i żywotów św. Pańskich.

*) A. Sikora, Pieśni nabożne, Kraków 1887. str. 217.

Również i w zawodzie swoim tkackim nie zaniedbał być doskonałym rzemieślnikiem, nad niejedną rzeczą się zastanawiał i takową swymi pomysłami udoskonalał, a gdy była dobrą, to i swym współrzemieślnikom tak robić zalecał.

Wspomnieć i to wypada, że był on również wielkim miłownikiem sadu owocowego, gdzie się tylko u sąsiadów lub znajomych o dobrem drzewie owocowem dowiedział, już to nie omieszkał, ażeby z niego i w swoim ogrodzie drzewka nie zaszczepił a pielęgnować zaś zawsze swym dziatkom zalecał.

Jego to życzliwość, jego też skromność, jego pokora i to zadowolenie ze swego położenia, nietylko wiązały doń serca wszystkich, ale nadto znamionowały, że to mąż pełen dobrego serca i prawdziwych cnót chrześciańskich.

Aleć stan zdrowia jego nie poprawiał się, owszem Sikora coraz bardziej zapadał na siłach. Często w nocy gdy kaszel przerywał mu sen, on wstawszy z łóżka, siada przy stoliku, zapala światło i notuje i spisuje sobie wiersze do której już zaczętej pieśni, a dopiero nad ranem może użyć spokojniejszego snu.

W listopadzie roku 1871. zachorował już obłożnie nie tyle cierpiąc na ciele, ile na duszy, często bowiem mawiał do swych dzieci: boję się o was dzieci, iż po mojej śmierci jako pszczoły z ula rozlecicie się po świecie.

Bogobojny i pracowity prowadząc żywot, świątobliwą też i umarł śmiercią.

Gdy choroba już tak coraz większe przybierać poczęła rozmiary, że przychodzący lekarz Dr. Tarnawski smutną gotowości na śmierć zwiastował mu potrzebę, zmieszał się on i zasmucił nieco, mówiąc: pięćdziesiąt lat mam, ale jeszcze i teraz chciałbym żyć i pracować dla tych moich dziatek, które po mojej śmierci zostaną sierotami, dla nich to radbym przeciągnąć swój żywot, *a także i tego doczekać, ażebym te moje pieśni widział drukowane.* Ale niebawem uspokoił się i mówił: Pan woła; gotowy, o Panie sługa Twój! Kazał i prosił zawołać mu kapłana, aby go na przyjęcie Zbawiciela przysposobił i którego też z wielkiem nabożeństwem i tkliwem serca uczuciem przyjął.

Ostatniego olejem św. namaszczenia jeszcze nie otrzymał, sądził bowiem kapłan, że niebezpieczeństwa śmierci podotąd jeszcze niema.

Ależ po paru dniach znacznie się znów choroba pogorszyła, tedy powtórnie prosił przywołać mu kapłana, ażeby mógł otrzymać i to ostatnie olejem św. namaszczenie.

Przedtem już był sam własnoręcznie testament spisał, który do przejrzenia obecnemu kapłanowi ś. p. ks. T. Janikowi podał. Zacny ten kapłan był sam w głębi wzruszony tem wszystkiem, co widział i przy odejściu swem pocieszał płaczące dziatki i stroskaną ich matkę.

Koło południa, zwoławszy ku sobie wszystkich pięcioro dziatek, kazał poklękać około siebie, a wsparty nieco z podanej sobie kropielniczki wodą święconą pokropił klęczących i błogosławił mówiąc: „W Imię Boga w Trójcy św. jedynego, Ojca Syna i Ducha św. błogosławię wam, by was zachowywał od wszystkiego złego na duszy i na ciele, by wam udzielał Swego błogosławieństwa na tym świe-

cie; byliście dobrzy i posłuszni dla mnie, bądźcie teraz dalej i dla waszej matki. Nieubliżajcie jej w niczem i nie opuśćcie jej w życiu, nie dajcie też upaść i chacie rodzinnej, żyjcie między sobą w zgodzie i jedności, ażebyście dali przykład z siebie i innym. Zachowajcie wszystko, com was kiedy pouczał przez całe życie.

Wypełniajcie Boskie przykazania i starajcie się być dobrymi i uczciwymi na ziemi, a przez to i mnie jako ojcu waszemu za to, żem was tak wychował i poza grobem cześć będziecie przynosić.

Słowa te wielkim bólem i miłością przejęte, wyrywały ze serc dziatek głośne łkania i nieukojony płacz. On zaś prosił, aby ukoili żałość, aby myśleli, że idzie w świat inny, piękniejszy, że idzie tam do tego Jezusa, który się w stajence był narodził, którego on tak ukochał i te wszystkie pieśni na Jego cześć i chwałę napisał i do tych pastuszków, z którymi się teraz już będzie cieszył tam w niebie na wieki.

„Po mojej śmierci módlcie się często za mnie, a Chrystus mnie i was wybawi a potem nadejdzie czas, gdy się wszyscy razem zobaczymy znów w niebie".

Jeszcze skinął ręką i prosił podać mu krzyż wiszący nad łożem na ścianie, całował rany Zbawiciela, prosił jeszcze zapalić gromnicę i modlić się wszystkim na głos i trzymał gorejącą świecę w ręce. Gdy najstarszy z dzieci Jan przedpowiadał z książki litanię za konających, on równocześnie z nimi słowa powtarzał z głębi serca, ale słabym już tylko głosem wymawiał: „Jezus, Marya, Józef, wam oddaję duszę i ciało moje. Jezu słodki przyjmij ducha mego". A gdy już i mówić nie mógł i oczy w słup stawały, jeszcze pocałunek ostatni złożył na krzyż i tak żywot swój znojny, cichy i pracowity zakończył w sam dzień swoich urodzin, czternastego grudnia roku 1871.

Emanuel Grim.

ŚLĄSCY RYCERZE.

Na Łysej górze
w skał rozpadlinie,
Gdzie pluskiem wody
ucho głąb mierzy,
A za dnem oko
w ciemności ginie,
Stoi na straży
oddział rycerzy...

W stalowej zbroi,
na zawołanie
Czekają wszyscy,
aż czas zawita,
A czas ten bliski...
gdy Polska wstanie,
Wtedy w bój ruszy
ta śląska świta...

□ □ □

Z DALEKA OD ŚLĄSKA.

1.

Smutno, tęskno mi, Boże!
Choć w polu pogoda,
Choć las śpiewem rozbrzmiewa,
Choć tu trawka młoda,
Choć zielenią się drzewa,
Smutno, tęskno mi, Boże!

To samo niebo,
te same drzewa,
Tak samo góry
ciągną się w dali...
Tak samo ptaszek
w gaiku śpiewa,
Tak samo słońce
promieniem pali...
A jednak smutno,
tęsknota gniecie,
Bo to nie u nas,
to w cudzym świecie...

2.

Dzień pogodny; błękit nieba
Piętrzy się nad moją głową...
Tęsknym... czego mi potrzeba,
Nie wypowię ludzką mową...
Myśl moja błądzi gdzieś w dali,
Na opuszczenie się żali...
Choć wszystko nęci,
wabi do siebie,
Tęsknym, bo Śląsko,
nie mam tu Ciebie!...

3.

Wicher po lesie
Buja i śpiewa...
Pieśni on niesie,
Któremi drzewa
Do snu układa...

Hej wichrze westchnij
razem z mą duszą,
Pokaż, że więcej
czujesz od ludzi...
Niech twe oddechy
łzy me osuszą,
Niech twój szmer cichy
żal mój ostudzi...
Lecz dmuchaj tylko,
co słychać ninie,
Nad brzegiem Olzy,
w śląskiej krainie...

WSPOMNIENIE.

Chmurki pędzą,
jak pędziły
Za mych młodych lat,
Ale minął
dzionek miły,
Minął życia kwiat...

Pozostały
ciernia, głogi
I nieczuły świat...
Szkoda, szkoda,
Boże drogi,
Moich młodych lat...

Chmurki pędzą,
szumią wiatry,
Wszystko sunie w dal,
Tam, gdzie sterczą
lube Tatry;
A w mem sercu żal...

Wiatry szumią,
jak szumiały,
Pędzą chmurki w dal,
Ponad góry,
Ponad skały,
Do ojczystych hal...

WIEŻA PIASTÓW.

Nad brzegiem Olzy
w cudnej dolinie,
Gdzie woda cicho
i wolno płynie,
Wiekowa pleśnią
zdala przyświeca
Przystań polskości,
Piastów wieżyca...

Ponura i smutna,
wiekiem zmarszczona...
Dla niej już życie,
dla niej świat kona;
Jedyną karmą
dla niej wód szmery,
Jedyną pojbą
polski jęk szczery...

Zdala wyciąga
ona ramiona
I wszystkich garnie
do swego łona...
Lecz nie każdemu
znana jej mowa,
Nie wszystkich nęci
jej pleśń wiekowa...

Ślązak w niej widzi
wspomnień świętości...
Dla cudzoziemca
smutek tam gości,
Bo nagą ścianą
świeci mu nędza,
Bo trwogą przeszłość
z bram go wypędza...

O dla Ślązaka
te nagie ściany
Stanowią szczątek
pamięci znany...
Z nich on wyczyta
przeszłości dzieje,
Z nich go duch Piastów
mętwem owieje...

One go nicią
z przeszłością łączą
I w lepszą przyszłość
popchną dłoń rączą...
Jak długo świecić
będą te ściany,
Tak długo polskim
nasz Śląsk kochany!...

o o o

DO SLĄZACZKI.

Zalotna córo dzielnicy Piasta,
Ukochaj sercem śląskie zagony,
Pokaż, że także słaba niewiasta
Ma w sercu ogień nieugaszony,
Ogień, co duszy miłością wzrasta
I poświęcenia sięga korony...
Kochaj Śląsk tchnieniem, co z piersi tryska,
Bo Śląsk pieleszy twoich kołyska...

Ukochaj szczerze te leśne wonie,
Zapachy zielne, zabrane łące...

Te śląskie pieśni, które wiatr wionie
I niesie z szumem na piersi drżącej,
Dzwoniąc je kwiatom na pól zagonie,
Śpiewaj te pieśni w duszy tonące,
Bo śląska śpiewka w serduszkach dzieci
Święte miłości ognie roznieci...

Ukochaj duszą te nieb błękity,
Te rzeki, góry, doliny, hale...
Cały kraj śląski smutkiem spowity
Ukochaj w serca szczerym zapale,
Wtedy nie będzie wróg Śląska skryty
Poił twym wdziękiem duszy szakalej,
Wtedy dopiero myśl twa rozbłyska,
Że Śląsk pieleszy twoich kołyska...

o o o

CO TO JEST BÓG?

Bóg to miłość
bez granic, bez końca,
Która chce być kochaną
sama kochająca...
Poznaje ją,
kto kocha świat, ludzi,
Bo wtedy się dopiero
w sercu jego budzi,
Gdy ukocha
dzieła ręki Boga,
Kiedy każda istota
sercu jego droga,
Kiedy w każdej
istocie i rzeczy
Wszechmoc Boga uznaje
wątły duch człowieczy...

o o o

B. Kotula.

ŚPIĄCY RYCERZ.

Tam, gdzie Czantorya się wznosi,
. . . . . .
Tam śpi rycerz znakomity
. . . . . .
Wojsko, co tam śpi w spokoju,
Czeka, aże każe Pan:
— Przyszła już godzina boju! —
(Pieśń ludowa).

Rycerz śpiący się budzi,
Wojsko ze snu się zrywa;
Chrzęszczą zbroje, pancerze,
Mnóstwo roi się ludzi.
I grzmi i huczy hala
Górska pod wojsk pochodem;
Rycerz idzie tam przodem,
A za nim wojska fala.

W zwartych masach się tłoczą
Pod Czantoryą tłumnie,
Tacy dziarscy, tak dumni
W dolinę ku nam kroczą.

Dziś się iści cud wieszczy:
Śpiący się zbudził rycerz,
Zbudził się lud nasz ze snu,
Wyrwał z niewoli kleszczy.

Lud nasz, lud nasz się budzi
Do wolności już kroczy.
Patrzcie w gęste szeregi;
Tysiące wstało ludzi!

o o o

UKAZ CARSKI.

Słuchajcie cara dusiciele płatni:
„Idźcie do domów aż do państwa granic,
I myśli wolnej skruszcie grot ostatni,
Bo w państwie cara skra swobody na nic.

Krwi żąda ciągle cara płaszcz szkarłatny;
Krew dań codzienna — zanosić ją trzeba,
Bo tak nakazał Pan ziemi i nieba —
Idźcie, mordujcie lud obcy, lud bratny.

Wszak krew przelewać — to okropną zbrodnią,
Gdy to uczynisz powstania pochodnią,
Gdy krwią chce naród wywalczyć swe prawa;

Lecz krew przelewać dla celów korony
Jest cnotą; cnotą — grabić obce trony,
Święta, niewinna królów ręka krwawa."

o o o

O ZIEMIO NASZA!

O, ziemio nasza, nie bądź skąpa!
Po tobie duch wolności stąpa,
Nadzieje sieje na zagony;
O, ziemio nasza, nie bądź skąpa!
O, ziemio nasza, zrodź nam plony!

O, ziemio nasza, ziemio czarna,
Daj w czasie żniwa mnóstwo ziarna,
Wlej świeże siły w nasze członki.
O, ziemio nasza, ziemio czarna,
Tul i ochraniaj nam skowronki!

O, polska, swojska, święta ziemio,
W tobie przyszłości losy drzemią.
Zródź nowe siły wśród narodu!
O, polska, swojska, święta ziemio,
O zrodź nam przyszłość świetną, młodą!

O, ziemio nasza, nie bądź skąpa!
Niech niebios blask po tobie stąpa,
I zrodzi do wytrwania zdolność!
O, ziemio nasza, nie bądź skąpa!
Zródź plony święte — zródź nam wolność!

ISTE ROKI

SZTUKA W TRZECH ODSŁONACH DLA AMATORSKICH SCEN LUDOWYCH NA ŚLĄSKU

NAPISAŁ E. FARNIK.

OSOBY:

1. SIEKIERA, siedlok.
2. SIEKIERZYNO, jego „baba," pochodzi od Cieszyna.
3. ZUZANKA, jedynaczka tychże.
4. JĘDRYS „za swe" u Siekierów.
5. MYNARZYK, „wymołwnik" na roli Siekiery.
6. MYNARZYCA, jego „połowica".
7. SOLICYTATOR,
8. GOSPODZKI,
9. GOSPODNA, żona jego,

} z miasta (Cieszyna).

Rzecz dzieje się w jednej z wiosek laskich w dorzeczu Stonawki — w pierwszym akcie na wiosnę, w drugim i trzecim we żniwa roku 1887.

ODSŁONA PIERWSZA.

Obszerna izba chłopska. Z jednej strony ciężki stół, koło niego dwie ławy i dwa stołki. Na ścianach stare obrazy na szkle, szare talerze, dzbanki i garnuszki na półkach. Niskie okna na podwórze. Z drugiej strony piec z brunatnych kafli, przy nim ławka i ryczka. Wejście do kuchni. W głębi główne drzwi wchodowe z sieni do izby.

SCENA PIERWSZA.

(Przy podniesieniu zasłony Mynarzyk siedzi przy piecu na ławce, pokurzuje, nalewa z żydliczka do półkwaretki, popija i częstuje Jędrka. Jędrek siedzi na ryczce niedaleko niego i gra na jargankach).

Mynarzyk bez surduta, w płócienkach i kamizelce wyblakłej, koszula surowa pod karkiem wiązana. Typowy chałupnik śląski. Ztyrany robotą sześćdziesięcioletni starzec, włosy dosyć siwe, twarz ogolona, wychudła, postać trochę przygięta, ale ruchliwa, język obrotny. Mierny alkoholik. Mówi czystym dyalektem laskim.

Jędrek w kabocie, ciemne spodnie w polskich butach, koszula biała, kołnierzyk miękki składany, koło szyji jasnego koloru krawatka w pętelkę wiązana. Piękny, regularnie zbudowany, średniego wzrostu, śląski syn siedlaczy, brunet inteligentny, posługujący się względnie dobrą polszczyzną, nabytą przez oczytanie, świadom treści słów swoich, mówi dźwięcznie i wyraźnie, ma wrodzone miłe wejrzenie, porusza się trochę po wojskowemu, ale swobodnie i poważnie.

Mynarzyk, Jędrek.

Mynarzyk. Pódź synku, popij se też roz tej książęcej. Dobry to lék od wszelakiej bolączki! A jużci! A mom ci cosi powiedzieć, od czego cie gdowié czy serce nie zaboli.

Jędrek. (Przerywa sobie w graniu.) Pijcie zdrowi Mynarzyku, wiecie, że gorzałki nie używam. (Gra dalej.)

Mynarzyk. Nieużywosz, bo ci jeszcze nijako starość do żywego nie dogryzła. Ale jak ci wyłożém, coch sie przed chwilom od moi baby dowiedzioł, to se musisz kapke łyknóć, a jużci, niby, że jako dobry trunek na frasunek.

Jędrek. (Nasłuchuje. Przestaje grać, wstaje, bierze półkwaretkę, przykłada do ust i stawia, otrzepując się). Brr! Pali po języku jak ogień.

Mynarzyk. A jużci, niczem ogień przy zazdrości. Jak sie dowiész co jo wiém, to ci sie *tu* rozpoli. (Trąca go grzbietem ręki w okolicy serca). Baba moja kansi wysznupała, że tu mo przyść dzisio ku Zuzance zolétnik. A jużci. (Popija).

Jędrek. Dzisiaj?

Mynarzyk. A jużci. dzisio, bo je niedziela. (Pauza).

Jędrek. (Odwraca się, by ukryć zaniepokojenie, podchodzi ze zwieszoną głową dwa kroki wprzód, potem odwraca się niby już spokojuy i cedzi:) A mnie to niby co ma obchodzić?

Mynarzyk. Co cie to mo obchodzić? A jużci, nic cie to nie obchodzi, jak mie nie obchodzi ten gajst oto w tym żydliku. Jak jo se tego gajstu popijem, to sie czerwienie jak ty kiedy Zuzanke zedrzysz. A jużci.

Jędrek. A jeszcze co. (Zaczyna znowu przegrywać na jargankach).

Mynarzyk. (Przedrzeźnia mu). A jużci, jeszcze co... Pamiętosz jakechmy wczora kończynisko orali, Zuzanka nom swaczyne przyniósła, pamiętosz?

Jędrek. No i cóż? Pamiętam.

Mynarzyk. Pamiętosz jak Zuzanka zgrzybięciu chléb dowała a potem go w gwiozdeczke na czole pocałowała?

Jędrek. Cóż więcej?

Mynarzyk. Cóż więcej, a jużci. Jak Zuzanka odeszła, gdo ci nie idzie i nie całuje zgrzybięcia w som roz po gwiozdce na czole — hę, a jużci. (Spluwa).

Jędrek. Mynarzyku, wam się coś przywidziało.

Mynarzyk. (Idzie ku niemu). Ty Jędrek, stoń se tu przedemnóm, tak. Ręce go góry, tak. (Sięga mu do kieszeni w kabocie i wyciąga fotografię Zuzanki). Co to jest? Gdo to jest? Hę?

Jędrek. Zuzanka. (Sięga po fotografię, Mynarzyk wymija i przygląda się jej lepiej). Czy ja wiem gdzie się ta fotografia znalazła w moim modlitewniku. Wyjąłem ją, włożyłem do kieszeni, no i była.

Mynarzyk. A jużci. (Przygląda się jeszcze i spluwa, do siebie). Na żywie jeszcze je piekniejszo niż na obrozku. (Do Jędrka.) A ty mi nie bojej o modlitebniku! *To* je twój modlitebnik. (Pokazuje na fotografię, Jędrek mu ją wyrywa i wtyka napowrót do kieszeni). Nad tym modlitebnikem rzékosz rano, w połednie, wieczór. Nierozech jo sie ci przydziwowoł... Ale na ozaist — Jędrys — ty sie teraz szpatnie obchodzisz ze starym Mynarzykem! (Poważnieje w głosie i w minie, idzie nalewa i wychyla półkwaretkę. Jędrek slada na dawnem miejscu, wyciąga jarganki i zaczyna znowu przygrywać. Pauza).

Mynarzyk. (Zapala fajkę i kurzy silnie cmokając, plecyma odwrócony do Jędrka, który gra i patrzy z podełba na Mynarzyka. Mynarzyk w przystępie złości podchodzi do Jędrka, wyrywa mu instrument i rzuca). Do sto set tysięcy milionów beczek, przestoń już brzdąkać jak jaki chłapiec i odewrz już roz gębe a powiedz co. (Pauza. Jędrek podchodzi do okna, stoi nieruchomo i patrzy w dal jak nieprzytomny). Odkąd przyszeł od wojska, jakby mu gębe zaryglowoł. Joch też je przeca staro wojna i wiem co znaczy maulhalten, ale mi od tego język nie przymorz do podniebienio. Maulhalten było na befel. Po befelu szła gęba jak młynek. A jużci. (Spluwa.)

Jędrek. Bełkocicie wy, nie muszę ja.

Mynarzyk. A jużci. Wiesz Jędrys, żeś mie już saframencko napolił, nic słusznego nie powiész, jeny dycki odszczekniesz, jak jako kanalija abo nieprzymierzając pies. A jużci. (Pauza. Zakurzuje.) Nimeś poszeł na wojne, był z ciebie miły chłap. To ci mi naopowiadoł przy robocie, uśmioł sie, uszpasowoł a wiesioły był dycki

jak anioł. Rontem cosi rzempolił. „Mynarzyku wiécie co? A Mynarzyku słyszeliście to? Mynarzyku bojejcie co!...“ Tak mi go chybiało jak poszeł do wojska, jak oka w głowie... Trzy rokich czakoł na niego. I przyszeł, opowiadoł, wiesioły był przy robocie jak downi — naroz kisi czechmon wloz weń — istny smok... Dzięki Bogu, że jeszcze Zuzanka mo wiesiołość w sobie, boby już tu z tej chałupy przyszło uciéc. Joch je wiesiołego ducha, wiesiołych ludzi mom kole siebie rod. (Popija).

Jędrek. (Odwraca się od okna, siada przy stole zafrasowany i trzyma głowę w dłoniach patrząc w stół. Przedrzeźniając nieudale Mynarzyka.) A jużci!

Mynarzyk. A jużci! (Podchodzi do niego, slada naprzeciw i przymawla.) Jędrek! Downiej toś ze wszyckim lecioł ku Mynarzykowi. Nieroz, nie dwa bywało, stary Mynarzyk cie pocieszył i zaś było dobre. Teraz wszyckom starość som połykosz i trujesz sie. Ni mosz notury twoigo ojca. Ten, to był dobry kamrat! Mychmy oba dzierżeli do gromady aż radość. Jak twój tatek mieli umrzéć... (Boże mu tam dej na tym świecie słodki odpoczynek...) to mie kozoł zawołać, pocapkoł mie po ramieniu i prai: Francku jednom mom do ciebie prośbe: par, coby też z moigo Jędrysa co było... ...Ale cie potem Siekiera wzion za swe. Tóż jakech jo przedowoł chałupe, wololech przedać Siekierowi, choć mi nielepszy płacił niż inszy, boch se myśloł: Bedziesz mioł Jędrysa pod okem. Dyckich przy tobie był, dyckich cie mioł rod, ale teraz mi już trefi z tobą nie rządzić, bo ty ze swoi miski jodosz i starym Mynarzykem gardzisz... Ale jo wiem co sie ci stało. Tobie ten przeklęty solicytator czy jak sie tam honcwót nazywo, stanół kością w garle. Ni możesz go przełknóć.

Jędrek. (Zrywa się, chwyta go szybko za rękę wyciągniętą na stole, głaszcze mu ją i zmienionym głosem pyta:) Mynarzyku, mój Mynarzyku złoty, czy to ten solicytator przyjdzie na zalety?

Mynarzyk. A jużci ten, mo to być jakoby halwokat, czy tam jakoby prawo ręka halwokata, a halwokat, że lewom rękom nie robi nic, jeny tom prawom.

Jędrek. Jakóż się Zuzanka z nim poznała?

Mynarzyk. Poznała sie tam! A jużci! On sie poznał na Siekierowej kapsie! A jużci! (Spluwa.) Dzisio temu be dwa tydnie, Mynarzyca przyniósła z miasta te nowine. Mie hnet jakby gdo oszkrabkiem po pysku strugnół. (Spluwa.) Było to w niedziele, we strzodeś ty potem przyszeł od wojska.

Jędrek. A były już iste roki?

Mynarzyk. Ale katać też tam. Dyćeszcze se ani istego słowa nie dali. A choćby! Na świecie synku nima nic istego, a nejnieiściejsze są słowa. Tu jeszcze ani do istego słowa nie doszło. Jeny go ten gospodzki z pod Mokrej Gwiozdy z Siekierami zapoznoł. Zuzanka też tam była; jedno w drugi, jak to bywo — i tóż potem zaroz na drugi dzień przyjechoł tu gospodzki z pod Mokrej, czyby móg przyść ze solicytatorem na zolety. A jużci. Zrazu że Siekiera kręcił. ale potem, jako do dzisio, że jak mu nie odkoże, to mogom przyjechać.

Jędrek. I nie odkazywał widocznie.

Mynarzyk. Jużci że ni. Solicytator mo być człowiek, jak to prawią, bildowany a porządny i pieniądze, że też mo jakisi swoi, to sie Siekierze podobo, a jużci.

Jędrek. A Zuzance się też podoba?

Mynarzyk. Ponbóczek raczy wiedzieć. Jest też to jeszcze jabłuszko nie bardzo zdrzałe, gąsie co ledwa kapke w piérze podrosło. Takimu sie tam jeszcze byle co spodobo, ale nie na długo... To już trzeci galan. Pierszych dwóch odpoliła.

Jedrek. A ojciec co na to?

Mynarzyk. Jako po teraz to stary nie prawił nic, bo i onemu sie zaczeni niepodobać. Ten pierszy, choć bogaty, był lekigo ducha, a ten drugi by sie mu był podoboł, jeny był goły jako śliż. Tego teraźniejszygo sie dzierżoł. Miołby on strasznie rod ze Zuzanki „co lepszego". Jak se tego półalwokata weźnie, to sie przestroi, do na głowe słomiany kłobuk z kwiotkami, oblecze miejską spodnice i bedzie hnet „co lepszego": fajno paniczka, imościnka, kisdehand — fifidło! (Spluwa.)

Jędrek. Strach pomyśleć!

Mynarzyk. Sponiewierałaby się dzieucha, a jużci.

Jędrek. Zuzanka paniczką! (Śmieje się z udaną ironią pod którą kryje się ból i wychodzi szybko z rozpaczy. Wpada ze ścierką *Mynarzyca,* kobleta starsza, ale ruchliwa, ubogo po lasku ubrana, w domowej drukowanej sukni i jakli, chustka na głowie jasna wykrochmalona. Rysy wyschnięte, tylko oczy jeszcze figlarne czasami, mówi czystym dyalektem laskim).

SCENA DRUGA.

Mynarzyk. Mynarzyca.

Mynarzyca. (Nie zauważyła męża. Ściera szybko stół i ławki, ustawia stołki koło stołu etc.) To oni, z dalekach poznała. Gdóżby też to móg być inszy? Bedzie ci miała Zuzanka pieknego panoczka! Taki szykowniutki! Idzie i kroczo jak podle muzyki. Nimasz to jak młodemu; (filuternie) o Boże! kaj są te czasy, i joch była młodo, i ku mnie tacy chodzowali, jeny...

Mynarzyk. (Odwrócony plecyma dopija wprost z żydlika, resztę odlewa na ziemię, potem patrzy nieruchomy przez ramię, przerywa żonie). ...Jeny że ich żoden nie widzioł, staro pieśniczka!

Mynarzyca. (Odwraca się naprzód trochę zażenowana, potem oburzona, popiera ręce o boki i mówi wyzywająco:) Toś ty, stary grzybie? A możne nie chodzowali, co? (Pauza). A potem, co ty wiesz! Młody cymboł, stare cymbalisko!

Mynarzyk. Młodo szczekaczka, staro szczekula! Ci szykowni cie nie chcieli, cymboł ci zustoł, a jużci.

Mynarzyca. Dyć już nie wiem, kanych oczy miała, kiedych se cie, ty brzydoku brała!

Mynarzyk. W głowie. A jużci. Ale kanych jo rozum mioł, kiedych se cie broł!

Mynarzyca. W pięcie. Ale ci teraz i z pięty wypod. Niewielko szkoda, był to rozum barani.

Mynarzyk. Przestoń na mie nastować, ty jadowito jędzo, bo ci wszycki zęby wytłukem!

Mynarzyca. Nie bardzobyś sie spocił przy tej robocie. Ale tybyś rod starą zatłók a młodąbyś se wzion. (Ściera).

Mynarzyk. A jużci, żebych se wzion. Ale cóż kiedy niechcesz scypnóć ani ze złości ani po dobroci. (Wytrzepuje fajkę na środku izby.)

Mynarzyca. Bodejbyś już poszeł kany, stodjobelniku siwy, smrodlawe fajczysko na postrzodku izby wyklepuje. (Wygierza się na niego szmatą, Mynarzyk sie cofa ku drzwiom. Mynarzyca przynosi miotłę i zamiata proch z fajki.)

Mynarzyk. (Do siebie). Loce jak potrzask... (Głośno) Staro czyś zgłupła? Cóż tak locesz, ścierosz i smiatosz, czy ci miejscy wieprzcy ku tobie idą? (Spluwa na środek izby.)

Mynarzyca. Dyabli wilkodłaku, bedziesz mi tu pluł po izbie, pójdźiesz już roz! (Wygierza się miotłą i pierze go na dobre. Mynarzyk śmiesznym skokiem chroni się za drzwi. Wchodzą właśnie *Siekierzyna i Zuzanka.*)

SCENA TRZECIA.

Siekierzyna. Zuzanka.

Siekierzyna stąpa poważnie. Okazała kobieta w stroju wałaskim domowym, w kabotku, na głowie czepiec i jedwabna szatka z tyłu wiązana, fartuch modry, „szuapie" po „wauasku".

Zuzanka wchodzi szybko. Dziewczynka 17-letnia, w zachowaniu się dziecinna, w mowie dojrzała, ubrana po wałasku, fartuszek różowy i takież wstążki. Warkocz długi z piękną zaplatką, kabotek wykrochmalony, żywotek zwykły, usiłuje mówić poprawnie, wpada w chwilach afektu w dyalekt.

Zuzanka. Cóżeście tak Mynarzyka wymietli na pole?

Mynarzyca. Boch tu chciała poschraniać, a safraportnik mi śmieci robił.

Siekierzyna. Pościeraliście uawy?

Mynarzyca. Nó to tak! Ani proszka nie zustało. A dyćby też to była gańba, jakby se taki fajny panoczek galaty zamazoł.

Zuzanka (przy oknie). O! już wchodzą do placu!

Siekierzyna (idzie ku oknu.) To isto zustawili bryczke w gospodzie. Niechcą wjéżdżać z bryczką do placu, jak masorz po ciele.

Mynarzyca. Sto dziosków! Bedzież miała Zuzanko szwarnego panoczka!

Siekierzyna. Idź Marysia, suóż ogień pod blachą, bo bedzie trzeba dlo nich cosi zgotować.

Mynarzyca. Już hnet idem w okamigu. (Nie może się oderwać od okna.) A jaki mo piekny fusek pod nosem, jak cie pocałuje Zuzaneczko, to cie tak bedzie łechtało, aż gęsij skóry dostaniesz.

Siekierzyna. Nuże Marysia do kuchynie!

Mynarzyca. Lecem co mogem wyskoczyć, już, już. (Odchodzi z oznakami zadowolenia.)

Zuzanka. (Przed zwierciadłem poprawia włosy, kabotek itd.) Mamo, mogę sobie wziąć jedwabny fartuch, bo ten kartonowy je troche już pomięty?

Siekierzyna. Możesz. A statkuj se potem przed nim, jak przydziesz do izby i nie wyszczerzej porzad zębów jak to robujesz; nie każdy rod widzi taką wiecznie wyszczerzoną.

Zuzanka. (Śmieje się.) Kiedy mi sie już teraz chce strasznie śmiać.

Siekierzyna. Już nie wiem dziewucho co ty mosz zawsze tela do śmiechu. (Poprawia na niej ubranie.) Dej pozór, aż cie kiedy co nie podleci.

Zuzanka. (Podchodzi ku oknu.) Stcją przy płocie i umawiają się o coś, jakby nie byli mieli czasu po drodze wszystko umówić. (Śmieje się, chichocąc.) Obaj są strasznie śmieszni. Solicytator ma biglowane galaty a na kapeluszu też ma wypresowany fałd. To mi biglowany panoczek! (Chichoce.) A ten gospodzki to gotowy komedyant, palcem mu przygraża, zdaje się go uczyć moresu.

Siekierzyna. (Zbliża się też ostrożnie do okna.) Żebyś sie ty już też roz nauczyua moresu a nie robiua z porządnych ludzi buozna. Idź, weź inszy fortuch i zawouej tatę ze zogrody. Potem tu przydziesz.

Zuzanka. Straszniech rada, że zaletnicy przyszli.

Siekierzyna. Czemu?

Zuzanka. Bo sobie chociaż trochę poparaduję w jedwabnym fartuchu. Gdyby nie zaletnicy, byłby biedak przez całą niedzielę musiał leżeć w trówle. (Odchodzi nucąc.)

Siekierzyna. (Przed zwierciadłem.) Strasznie to jeszcze głupiutkie ta Zuza. Nie dziwota! Też jej dopiero ośmnosty rok idzie. Wolę ją taką jako je, niż dyby mi już miaua wyrostać ponad guowe. (Ustawia jeszcze stołki, ściera fartuchem etc.) Zaśby jednako byua szkoda o takigo fajnego żenicha, jakby sie mu miaua niespodobać. Wziąuby mi ją, tezby mi jej byuo strasznie żol, boto je dziewcze strasznie szkowrożne. Lepszy jednak, by sie wydaua do miasta, będzie miaua lekciejszy chleb.... Ale co oni też tela stoją przy tej pawuaczce. Czakają bezmala czy gdo po nich nie wyńdzie. Byuoby ich przeca trzeba przedeńść na znak, że się ich rado widzi. Że też stary zawsze musi gdziesi uazić. Jo po nich nie pójdym, bo nie umiem komplementować pieknymi słowami. Niech sobie sami radzą! (Pukanie do drzwi. Siekierzyna wychodzi do kuchni. Pukanie się powtarza. Po trzecim razie wchodzą gospodzki i solicytator, zaraz po nich Siekiera z babą i cerą, ci ostatni przez drzwi ze strony kuchni).

(C. d. n.)

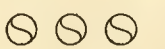

Jan Szuścik.

DO AMERYKI.

Obrazek z życia górniczego skreślony na tle stosunków czesko-polskich.

K. był synem naszego ludu. W szkole kilkuklasowej uczył się dobrze i nauczył się tyle ile do życia przeciętnego robotnika jest potrzebnem. W życiu swojem nauki otrzymane potrafił zużytkować dla siebie i otoczenia. W pracy wytrwały, w zabawie przyzwoity, w domu wesoły, do książki zawsze skory. Gorliwy w kształceniu swego ducha, nietylko dla siebie życzliwy, lecz i dla innych w radzie hojny.

Gdyby się był spotkał z dawniejszym swym nauczycielem, z pewnością obaj byliby się rozradowali. Pierwszy dlatego, iż droga wskazana mu przez przewodnika nie zawiodła go dotychczas, drugi doznałby tego błogiego uczucia, które spływa na człowieka po sumiennem spełnieniu swego obowiązku — i wtenczas, gdy widzi piękne owoce swej mozolnej pracy.

W historyi sięga się po życiorysy znanych królów, książąt i rycerzy, którzy kiedyś dla dobra ogółu pracowali.

Czyż ten świat milionowy naszych robotników nie posiadą niczego, coby można zapisać w historyi świata i przechować w skarbcu wiedzy i nauki dla potomności? Z pewnością znalazłoby się dużo pięknych rysów wśród tego „przesądzonego brudu“, wśród tych niewolników pracy, wśród tej ogromnej rzeszy, pozbawionej praw ludzkich. Dlaczegóż więc sięgać po te wzory zamierzchłej przeszłości i wątpliwej jakości, skoro w każdej wiosce prawie znajdziemy ludzi, których możemy postawić innym za wzór. Chociaż oni nie dokazali tych cudów, co inni środkami milionowymi i imieniem wiekowem, to czyny ich niemniej są zacne.

Wstąpmy zatem do mieszkania naszego robotnika. Mała kuchnia i pokój, to ognisko domowego szczęścia, to całe królestwo ziemskie rodziny górnika. Wszędzie panuje ład, gdyż gospodyni domu jest jedną z tych rzadkich kobiet, które starają się osładzać ciężką dolę swego męża.

W kuchni około fartuszka ukochanej mamusi, kręci się dwoje maleństwa. Dwie płowe główki, twarze wesołe, bez troski o chleb i jutro — któż nie tęskni do tych lat szczęścia i rozkoszy dziecinnych? — Twarz ruchliwej gosposi nie zdradza niestety tej pogody, która jaśnieje na licach dziatek. Korzysta z wolnej chwili i uśpiwszy niemowlę w kołysce zajętą jest uporządkowaniem kuchni oraz przyrządzeniem skromnego posiłku, na jaki stać liczniejszą rodzinę górnika, tak, żeby powracający z pracy ojciec znalazł wszystko w najlepszym porządku.

Mały Kazio odrywa się nagle od matki, bo oto w progu ukazuje się tatuś, który czas wolny poświęca rodzinie i nie szczędzi pieszczot dla trojga maleństwa. „Tata, tata“, i naraz w cichej izdebce zaroiło się a głosy donośne Kazia i Franciszka obudziły maleńką Aninkę w kołysce do głośnego współdziałania przy przywitaniu ojca...

Pozazdroszczenia godni są ci panowie, którzy w publicznych ogrodach przy dźwiękach kapeli zapominają o troskach życia, lecz szczęśliwszy zapewnie jest ten ojciec, któremu własne dzieci codzień ten sam „hejnał“ na powitanie nucą.

Tak też było i u naszego K. Przywiązany do domu i rodziny nie znał nic milszego nad troski o swe dzieci, a książki były jego dalszym nieodstępnym towarzyszem. Do gospody chodził, lecz nie po to, by się spijać i grosz krwawy marnować, lecz dlatego by gazetkę przeczytać lub pożyteczną książkę z biblioteki wypożyczyć. Żona jego, kobieta nadzwyczaj oszczędna, robiła mu początkowo wymówki, że w gospodzie i czas i pieniądze trwoni ze szkodą dla rodziny. Bywało

więc, że razem z żonką co niedzielę do czytelni chodził i w ten sposób pokonywał przesądy kobiece, utrzymując zgodę przy domowem ognisku.

W pracy bywał sumienny i dlatego otrzymał zatrudnienie połączone z wielką odpowiedzialnością. Jako dozorca przy machinie spełniał swój obowiązek już od kilku lat i nie było zgoła drugiego w tym fachu, któryby tak długi czas pracował bez wszelkiego wypadku. Zdawałoby się, iż przez swoją gorliwość cieszył się względami swych przełożonych.

Niestety praca i płaca nie zawsze w równym stoją do siebie stosunku, a najmniej tam, gdzie zaciekłość osobista lub narodowa przełożonych dochodzi do takich rozmiarów, jak to właśnie działo się na szybie X. w Y.

Dwóch bożków było, którym wszyscy robotnicy kłaniać się musieli. Bożek wierzchu Djabeł i bożek dołu Piorun. Przed ich potęgą drżało wszystko, pomimo że obaj byli tylko synami najwyższego Jowisza. Kult uprawiano jedynie w języku czeskim; biada śmiałkowi, który odezwał się w innym języku. Miarą zasług były fałsz i obłuda. Im bardziej który robotnik kalał swe gniazdo nieczeskie, im większym był oszczercą i donosicielem, tem lepiej zapisany był u bożka wierzhu i bożka dołu, a oko Jowisza spoczywało z ukontentowaniem na dziełach synów jego. I wyszedł rozkaz z ust Jowisza: „Wytępić bluźnierców kultu czeskiego". Stało się według rozkazu. Czasy, gdy nasi polscy robotnicy znaczyli coś w owej świątyni wszechmocnego Jowisza, dawno minęły.

Inżynier, lub dozorca Polak, — to piłka w ręku mściwego Jowisza, którą miotał według upodobania. Cóż znaczy biedak K. wobec potęgi bożków i Jowisza? Albo się wyprze języka macierzyńskiego i pomnoży grono donosicieli, albo zginie od wszechmocnej ręki, od tej ręki, która niejedną rodzinę naszą polską posłała o kiju żebraczym w nieznany świat. Ta ręka, która tak łaskawą okazuje się zawsze dla zwolenników kultu czeskiego...

Dziś cała rodzina K. smutna. Ojciec i matka siedzą przy stole. Dzieci wpradzie smacznie zajadają, lecz lękliwe ich oczęta wpatrzone są w posępne twarze rodziców. Grobowa cisza panuje tutaj, gdzie dawniej odzywały się wesołe głosy. Czoło tatusia, zazwyczaj pogodne, dziś zmarszczone, zdradza bolesny stan duszy. Widać, że w tej duszy ważą się wielkie zamiary. Czyżby miało zabraknąć w niej hartu w stanowczej chwili? Czyż ten żywiciel rodziny przejdzie do wrogiego obozu, ażeby dla tych licznych rącząt, które dziś do niego sięgają, zdobyć chleb obfitszy... judaszowski?

W stanowczej chwili rozjaśnia się oblicze ojca... zwyciężył pokusę. Ileż to razy jego przełożony podrzucał mu czeskie piśmidła, żeby go dla siebie pozyskać, ileż to razy karcił go dlatego, że polskie gazety i książki czytał i do polskiego związku należał, ile to razy szukał przyczyny, dla którejby go był mógł chleba pozbawić, — a wszystko nadarmo. Czuł zawsze nad sobą i rodziną ten miecz Damoklesa, który mógł lada chwila na nią spaść i dlatego pomyślał o ratunku. Dopóki młody i przy siłach znajdzie dla siebie i swoich wyżywienie; pójdzie tam, gdzie

nie pytają o narodowość, ni o wyznanie, gdzie zręczność siła i praca popłaca, het do... wolnej Ameryki, tam gdzie tysiące ludzi przez własny pomysł i pracę się wzbogaca, tam, gdzie krocie tysięcy giną z lenistwa, zapomniane przez swoich. A jeżeli mu się uda kiedyś jeszcze powrócić na łono tej ziemi śląskiej, to ona stanie się tembardziej drogą dla niego, bo wróci jako wierny jej syn.

Leon Wolf.

WRAŻENIA CICHEJ NOCY.

Zapatrzony w wyżyny, gdzie sine chmury płynęły lekko po ciemnym firmamencie nieba, zasianego mnóstwem gwiazd błyszczących, szedłem nocą przez wioskę. Mijałem chaty i domki; rzadko w których błyszczały okna swiatłem, świadczącem, że mieszkańcy ich nie złożyli jeszcze strudzonych ciał do odpoczynku. Po największej części ciemność już zalegała wnętrze tych mieszkań ludzkich, a spokój święty tajemniczej nocy rozpostarł nad niemi swoje skrzydła i napawał twory ziemskie rozmarzenia pełną ciszą.

Głuche echo niosło odgłos mych kroków aż het do opuszczonej w polu chaty i napoiło strachem, skradającego się pod jej ścianami drapieżca, szukającego łupu. Od czasu do czasu zaszczekał pies, przebudzony mem stąpaniem, wychylił zaspany łeb z budy i ucichł znowu; zawtórował mu mruczeniem, niby przez sen, inny, lecz sen zbyt ubezwładnił jego kudłate członki, tak iż nie ruszył się z miejsca. Słyszałem świst nocnego ptaka, ale oko moje nie dojrzało jego postaci.

Mijałem ostatnie chaty, żegnając je westchnieniem i uczuciem jakiejś niewysłowionej rozkoszy. Białe chmury chyżo biegły po niebiosach, na których widziałem prosto przed sobą punkt oświetlony, okryty białą zasłoną. Domyśliłem się, że to księżyc i patrzałem w ten punkt, jakbym stamtąd spodziewał się czegoś nadzwyczajnego. Żal zrobiło mi się w duszy, niezrozumiana tęsknota za światłem srebrnego księżyca wionęła wilgotnem tchnieniem tłumionych łkań i oto powoli, jakby niewidzialną ręką targana, rozstąpiła się zwolna blada zasłona, a omdlałe promienie rozmarzonego księżyca napełniły me oko błogą radością, przedarły się do piersi mych i w duszy mej zaczęły poruszać uśpione strony słodkiego wspomnienia. — Jeszcze raz przeżyłem wypadki minionego wieczoru.

Jeszcze słońce nie tknęło ostatnim promieniem rozkochanej w rozkwitłej wiośnie ziemi, gdym stanął na drugim końcu wioski tej przed znaną mi tak dobrze chatą. Dom zajezdny dla jednych, a dla mnie miejsce mych utajonych życzeń i nieskalanego spełnienia marzeń mej rozkoszy. Najrozmaitsze głosy i nawoływania wracających do domów ludzi i zwierząt odbijały się o me uszy, najrozmaitsze po-

stacie snuły się i śpieszyły przed mym wzrokiem. Nie słyszałem, nie widziałem niczego, bo sobie nic nie przypominam. Stałem przed ścianą i czekałem, jakbym miał kogoś oczekiwać. Zwróciłem oko na zachód, ostatni pocałunek słało ziemi nurzające się w ciemnym oceanie słońce i lekko dotykało promieniami czerwonymi jej powierzchni, jak matka, opuszczając swe dziecię, z zapłakanemi oczyma łagodnie głaska jego lice. Zaszło, a ziemia rozmarzona posłała za nim pierwsze nadchodzącego wieczoru tęskne westchnienie.

Odwróciłem się, bo przeszedł przez nerwy moje wiew dawno wyczekiwanej błogości. Na progu stała dziewczyna, zdumiona mem pojawieniem się, uśmiechnięta jak dziecko, witające swego miłego przyjaciela. Rozkoszna była, cudna, jak marzenie, wabiąca tym niewygasłym nigny czarem niezbadanego piękna. Taką znali ją wszyscy, taką opiewali w swych prostych pieśniach młodzieńcy onej wioski, taką ujrzeć pragnęli i obcy, zdala przychodzili tutaj, jak podróżują pobożni do miejsc bożego objawienia; taką była w snach moich. Niczem odległa droga, stokroć cięższych podimałbym się trudów, aby ją tylko ujrzeć, przemówić z nią słowo i wracać znowu z sercem pełnem bolu i niezgaszonej tęsknoty. — Taką ujrzałem ją teraz, krew stanęła w mych żyłach, a umysł mój odurzyło nieumiejące wskazać wyjścia ciche wspomnienie.

Jak w marzeniu sennem przystąpiłem do niej i podane mi ręce całowałem dotknięciem ust pełnem głębokiego uwielbienia. Dusza moja śpiewała hymn niewysłowionej, cichej rozkoszy, a kolana gięły się pod uczuciem łkającego żalu z powodu mijającego szczęścia i zmieszanej z nim radości.

Zaklęty urokiem szedłem za nią; nieświadom siebie witałem się ze znajomymi i nieobmyślanemi słowy odpowiadałem na ich zapytania, nie wiedząc o co się pytają, ani nie zadając sobie trudu dla wyszukania odpowiedzi. Zawiodła mię do pokoju, gdzie sam bez świadków mogłem się oddać mojemu upojeniu i patrzeć w głąb oczu jej rozkoszy pełnych. Nie zdołałem mówić, choć pierś moja pełna była krępowanych wyznań, a z wnętrza głos bolesny rozbijał myśli moje i rwał się siłą niewypowiedzianego zachwycenia.

Zaczęliśmy rozmowę. — Obojętne słowa wiązały się w konwencyonalnej rozmowie, nie czerpałem z tego żaru, co rozsadzał me wnętrze; rozpłomienione wyznanie nie odważyło się wypłynąć z głębi mego serca i wrzało tylko uczuciem cichej miłości tak nieznacznie, a tak gorąco, że słowo każde musiałem ochładzać, bojąc się aby nie zdradziło przeszytego nitkami boleści, a płonącego w mej piersi szczęścia. — Czas mijał niepowrotnie, daremne było me pragnienie przedłużenia chwili, która przeleciała prędzej, nim powstało w mej myśli życzenie jej zatrzymania.

Cisza w całym domu, znak że iść już trzeba. Odprowadzała mię do progów ciemnej uciszonej sieni. Dziesięć razy żegnałem ją, a nie odchodziłem; stałem długo jak do miejsca przykuty. W słowach zdradzić nie śmiałem, co myśl mi szeptała, gdyż niegodne zdały mi się wielkiego uczucia, co duszę mą ogarnęło. A jednak pragnąłem wyrazić co się w niej działo. Chciałem jej okazać tę bezdenną

wdzięczność, za to, że tak pełna piękna i rozkoszy, za to, że tak łagodna, za to, że tak ubóstwiać ją muszę, że odczułem nicość mego jestestwa i nieopisane pragnienie spełnić ofiarę wielką i świętą, zdumiewającą świat cały. A chwila ona była dla mnie tak pełna najwyższego szczęścia, że wszystkie trudy i dolegliwości mego życia, wszystkie walki z pokuszeniami zostały zgładzone i gotów byłem w tej chwili podjąć się stokroć uciążliwszych i boleśniejszych. Skosztowałem uczucia, jakie tylko umysł ludzki wyobraźnią stworzyć zdoła, napawając niem dusze wybranych w raju.

Chwila ta wyryta głęboko w mem uczuciu, oświecała mi teraz, gdy wracałem do domu, drogę moich myśli, a jak kamień szlachetny nie traci swego blasku, tak ona napawała mię cichem, łagodnem weselem. Czułem się lekkim, jak ptak bujający w powietrzu, jak ta chmurka biała co potrąciwszy o miesiąc, pędzi bez szelestu od gwiazdy do gwiazdy, i chełpiąc się swem szczęściem rozpływa w przestworzu. — Straciłem rachubę czasu, wprawdzie odbiły się o me uszy dźwięki zegaru, wybijającego gdzieś daleko na wieży godzinę spóźnionej nocy, lecz słuch nie niósł myśli sprawozdania z odebranego wrażenia, bo ta poleciała za echem stłumionem i z niem gubiła się w nieuchwytnej harmonii odwiecznej pieśni i różowego nadzieją marzenia.

Tymczasem ciemny, gwiazdami zasiany błękit firmamentu zmieniał postać swoją. Nadciągała powoli, ale stanowczo od zachodu majestatyczna, siejąca obawę, chmura czarna i szła, wchłaniając w siebie słabe światło cichych, łagodnych gwiazd. Jeszcze księżyc nie poddał się, jeszcze stał jakby gotował się do walki beznadziejnej, lecz już skrzydło czarnego potworu otarło się oń, a przednia część poczęła zasłaniać jego jaśniejące oblicze. Jeszcze było widać jasność przebijającą się przez coraz gęstszą zasłonę, lecz walka była rozstrzygnięta, ustąpiła jasność, a brzemienna ciemność szeroko rozlała się po świecie.

Nie postradałem jeszcze uczucia, co napajało mię tem płomiennem szczęściem, lecz czułem, że niepożądany gość, smutek, krąży koło mej duszy i wciska się do niej szczelinami przypomnienia. — Przedemną szumiał las i otwierał ciemnej drodze mej jeszcze ciemniejszą aleę. Przepełnione tęskną melancholią, jego tajemnicze szepty osadzały się jak gęsta mgła na moim umyśle i poczęły z niego wyduszać ciężkie myśli, jak zmora, usiadłszy na piersi śpiącego, wyciska z niej straszne umęczające marzenia senne.

Obraz dziewicy, który mi dotąd oświecał wnętrze mych marzeń, ujrzałem otoczony gęstą mgłą; dobywałem całej mocy mej wyobraźni, by go zatrzymać, by bawić z nim i spowiadać mu swoją szczęśliwość, lecz próżno! Płynął w dal niezbadaną coraz mgliwszy, coraz nieznaczniejszy, aż znikł, zostawiwszy za sobą pustkę i ciemność, na której, jak na tle czarnem, kreśliła fantazya chaotyczne postacie, szydzących z mego żalu upiorów.

Kroczyłem aleją szumiącego lasu, a wszystkie siły zgromadziłem w łaknącem światła oku. Przez tkanki rozgorączkowanego mózgu błysnęła myśl dawno pogrzebiona, jęknął ton dawno niesłyszanej pogrzebowej pieśni. Las ozwał się

życiem niewidzialnych zaczarowanych istot i wionął na mnie tchnieniem płaczącej skruchy i śmiertelnego strachu. Ciemna aleja rozstąpiła się tworząc majaczące zarysy tajemniczej świątyni, a na przeciwległym końcu jej nawy ujrzałem krzyż drewniany, nieumiejętną na nim ręką wyciosaną figurę. — U stóp krzyża na klęczniku z twardego drzewa klęczała niewiasta; pochylona do ziemi płakała rzewliwie. Grobowe jakieś światło oświecało jej postać i krwawiło łzy, które, lejąc się z oczu jej przesmutnych, spadały rzęsiście na twardą ziemię.

To ona, źródło mej pierwszej miłości, cel marzeń mej wiosny, budzącej pierwsze pączki świętego uczucia. Do niej jak do bóstwa najukochańszego modliłem się niegdyś w szczęściu i błogiej nadziei, a dziś, zapomniawszy ją, zawikłałem serce i pamięć w sieci innej. Poznałem ją!

Bezbrzeżny przestrach wstrząsł moją istotą, serce bić przestało, a pot śmiertelny rozłał się po ciele, a wtedy mglista zasłona zakryła mi oczy i nieodbierające wrażeń rzuciło mię na ziemię omdlenie.

Józef Lebiedzik,

1. WZLOT DO IDEAŁU.

W przestworza blaski gdy się patrzę jasne,
Gdy duch się nurza w szafirów błękity,
Nadziemskie lica zachwycą mię krasne,
Piękności czarem mój umysł spowity
W tęczowe barwy rozpływa się czyste,
W przestworza blaski, gdy się patrzę, jasne.

Bezdenna nicość, otchłań, przepaść czarna
Pochłania w sobie bystrej myśli strzały;
Istności ludzka, jakeś krucha, marna!
Niepewność, słabość zewsząd cię owiały,
Jak drobny atom przytula cię znowu
Bezdenna nicość, otchłań, przepaść czarna!

Gdy spojrzę w niebo przy świetle księżyca,
Skrzydlate mnóstwo świetlnych gwiazdek nęci;
Pragnąłbym wzlecieć, kędy toń rozświeca
Kryształu promień, kędy wir się kręci
Odwiecznych mgławic. Wznoszę się w zaświaty,
Gdy spojrzę w niebo przy świetle księżyca!

Owiana w cienie, skrą zorzy złocona,
Powiewną postać w rąbek słoniąc chmury,
Z mgły tkaną szatę przytuli do łona
Jak perła czysta, górnych sfer lazury
Dziewica — symbol mistycznej przyjaźni,
Owiana w cienie, skrą zorzy złocona!

o o o

2. ZWĄTPIENIE.

Wyszedłem blady, trupią strasząc marą,
Nad groby świeże, pól bezkwietnych łany,
Całunem smutku, zgryzotą owiany;
A wicher świsnął szyderczą fanfarą.

I dreszczem zgrozy, boleści ofiarą
Zagrały wzgórza, wtem pękły kurhany...
Nadziemskim blaskiem kształt ludzki odziany
Wypłynął z ziemi, skargę wyrzekł starą:

„Ach, drogi synu, skarbie mych nadziei!
Dlaczego smutek twe oblicze mroczy,
Czemu w twem sercu grzmot burz i zawiei?“

„Mą istność, matko, ząb rozpaczy toczy,
Mą stopę pędzi w wir smętnych kolei,
Bezbrzeżna gorycz łzą poi me oczy.“

Jan Obuszek.

JAKO GOROL LYCZYŁ PROSIEN.[1])

MONOLOG.

Poszełby człowiek na cudzóm ziym, dy na tej tu telowne utropiyni, niale jakoż, dy tej swoi ziymie żol, — zaś bych też woloł umrzyć, kany ociec i mać spióm — a tu zaś to tak strasznie ciężko tryfio. Czym krwowi tyn chlebiczek przychodzi, tym człowiekowi ta ziym uskolono[2]) drogszo.

Han nizi zaś przeca kany lepi, usz tak biyda nie przycisko jako u nas w tych gróniach.[3]) Biyda za biydom szado na człowieka, a ty jyny rób, co pojeść

[1]) 4. p. od prosię. [2]) kamienista. [3]) w górach.

ledwo kiedy — a jeszcze jaki to jedzyni:! Kapuśniczka, — mój miły Boże, — jakoż o ni żić! Kołym zieleżnym bij cały dziyń, przydziesz, —

— Hana, nimosz tam co zjeść?

— Nabzłe mlyko[1] — połedniyjsi żymnioczki.

Dyby to móg człowiek, jako pon — mięso jeść, nic se nie robić, gorzołkym se dobróm pić, starościch na głowie nimieć, — chodzić se w rozprutym kabocie[2] s kneflami jak ręszczok, — dyby to móg aspoń jedyn dziyń!.... Ale tu, chodzisz oszkubany dość na tym na kamelhor[3] ku brucliku[4] nimasz.

Usz też ku tymu jedzyniu nic nie było ani umasty,[5] ani kości do polywki, tak nom przyszło ciężko, a robić trza było o zici, jak przedtym, tak terazyka. Jeszcze skoli z grapy trza zwiyść, na gromadnicym[6], trza zorąb[7] nawiyść ponad pastownik[8], wielo to robota!

Przyszełech roz z dymłyniska[9] — klabniech[10] tam dzichtóm przykrywoł, bo sie mroczyło,[11] — baba na progu raniejsi suche łupioki[12] jy.

Przeca sie mi wtedy zdało, że sie mi co stanie, zdało sie mi, że sie rozpłaczym, choć usz tam człowiek nigdy nie płacze, — rzekym — jako jezde[13] tako jezde, przeca Pón Bóg miłościwy.[14]

— Niech usz bedzie jako chce — padom — babo jo na Milowkym prosiyn ządym kupić — kierysi zaś też tyn żymnioczek jezde, odbyć lachko, a przeca sie też mało wiela na tóm szpyreczkym uzbiyro. Dyć szkoda grajcara, nale cóż bedziesz robić?....

Oto po Bartłomieju bezmała tam jarmak.

Nó i zaszełech na tóm Milówkym. Kupiłech tam prosiąteczko niewieluczki, biołe, pram[15] na grbiecie na czorno połotane. Usz jech tymu był strasznie rod, co mi tego furmanowi do kosziny żol było dać — wołołech za koszulóm dudómu niyść. Gmyrzyło[16] mi to za koszulóm, gmyrzyło, a joch co chwila na to przez zoniedrzi poziyroł, rzekym: Toteż bedzie Hana rada!

Przychodzim ku chałupie, baba usz naprociw, zdaleka wołóm: — Pójzisz! — niesym!....

Rękowymech go wytrząs, baba wziyna, dudómu na rękach zaniysła, o piec trzy razy otrzyła[17]... joch zaś corek[18] u dźwiyrzych ugrodził, szafliczek z dąg obręczóm spión, coby mu też dobrze było żrać, nó i prosiyn dóma — był też tymu człowiek rod.

Nale niech was usz tam Pón Bóg opatrzy, a zachowo, — jak sie statek[19] nie wiedzie! — jak co nimo być, to usz tam tropa i okoracyj[20] darymno.

Prosiyn żrać nie chciało.

---

[1]) gorzkie. [2]) we fraku. [3]) czerwone kutasiki u bruclika. [4]) rodzaj kamizelki. [5]) słonina. [6]) kupa kamieni. [7]) zoręba = ogrodzenie z długich żerdek. [8]) pastwisko. [9]) przyłóg po skoszeniu. [10]) klabień = kopka siana. [11]) zanosiło na deszcz. [12]) ziemniaki nie oskrobane. [13]) jest. [14]) miłosierny. [15]) tylko. [16]) ruszało się. [17]) zwyczaj, raczej zabobon, cokolwiek kupi się z inwentarza lub drobiu, ociera się, przestąpiwszy próg, trzy razy o piec, by się „chowało". [18]) ogrodzenie z desek. [19]) inwentarz. [20]) zachodzenie, zapobieganie.

Żymnioki my mu szkrobali, my usz łupioki jedli, rzekym, jesi by też wiela tela nie liźło, dowómy, smołym gorkóm do rylka lejymy, wilczi zęby wyłamujymy, pod szczyk podganiómy,[1]) kadzimy, co usz też ziwnie gdo poradził, tochmy zrobili, — nic — nie chce żrać i nie chce.

Dziepyr[2]) Brzestowian dorozumioł, jakóm prosiyn ma chybym — pado:

Chłopie, to prosiyn mo grbietowom kość[3]) złómanóm, — nie par nic, jyny weź kół, abo co, rznij po grbiecie, a naprawisz.

— Nó, rzekym, jak tak, toż tak, wziónech kół od tynin[4]), bo mi też zagrodym zorębom dziepyr grodzić trzeba, — padom babie:

Wlyżzisz do corku, to prosiyn mo grbietowom kość złómanóm, — wyżyń, jo rznym i naprawim. — Żol tam tego bić, nale cóż bedziesz robić?

Baba wlazła smutno — też ji tego było żol, dy też człowiek s tym robi, kole tego łazi, a potym to tak źle tryfio — wyganio, zawraco, tańcuje s prosięciym po corku, gajduje na nim, a prosiyn nie chce węść. Teżechmy go widzicie nie puszczali s corku, bochmy sie boli, że sie zachłódzi, lebo mu nożki pokrzywi — i prosiyn nie nauczone, nie chciało węść.

A jo stoim przy dźwiyrkach z zagiyrzónym kołym, rzekym: — Rącz sie ukoże, łupnym.

Jedyn roz sie zabieliło we dźwiyrkach, joch oczy zamróżił, boch sie z żalu dziwać nimóg, — i łup ze swej siły.

A tu: — Ojejejej zajojczy baba. To baba wychodziła, dy proszaciska wygnać nimógła, joch sie zaś też widzicie nie pozdoł, że to baba, a nie prosiyn, i babym jech wypłacił.

No mosz tu terazyka — niech usz tam Bóg opatrzy, a zachowo. Chcioł człowiek prosięciu pómódz, terazyka babie pómogej.

A to usz tak ruńtem wdycki roztomajto biyda piźnie[5]) na człowieka, a ty sie ogrzybej, rób, nie płacz, byj wieszoły, choć nielza, bo smutek abo szklyba[6]) lachko cie do grobu wżynie.

Karol Gil.

CYGON I FARORZ.

(Godka ludowa).

Chycił cygon zająca we farorzowej kończynie. I farorz to widzioł — i mówi do cygona:

— Cygonie, ten zając je mój, bo był w moi kończynie.

A cygon mówi:

[1]) Zabobon. Chore zwierzę podstawia się pod strzechę, by woda deszczowa z dachu prosto lała się na grzbiet zwierzęcia. W ten sposób leczą krowę która mleka dać nie chce. Sczyk od ściekać, woda z dachu ścieka. [2]) dopiero. [3]) stos pacierzowy. [4]) rodzaj ogrodzenia zapomocą pionowo stojących, giętkich, splecionych w płot deszczułek. [5]) uderzy, zwrot dyalekt.: biyda piźnie. [6]) płacz.

— Ten zając je mój, bo je moimi rękami chycony!

— Ja, cygonie — mówi farorz — to momy oba recht. To sie nom patrzy tym zającem na poły rozdzielić.

A cygon mówi:

— Oj wielebny panie, cóż to je pół zająca! To ani dlo mnie samego, a cóż bedom jeść moje dzieci i moja staro?

Farorz mówi tak:

— Miły cygonie, ty ani tego zająca ugotować nie umiesz, a jo też tam tak dalece o niego nie stojem. Tak wiesz co, pujdziesz do mnie na noc — a nasza kucharka tego zająca dobrze ugotuje i do tromby schowo aż do rana, a rano gdo z nas dwóch bedzie mioł piekniejszy sen, ten dostanie tego dobrze ugotowanego zająca.

— No dobrze, dobrze, — mówi cygon.

I przyszli do fary i kucharka poczyna gotować zająca.

I cygon chcioł ukozać farorzowi swom pokorę — ale fałszywom — bo mówi do farorza:

— Wielebny panie! jo już bedem tu na ganku społ, boch jo je nauczony na twardem spać!

Ale cygon dlotego chcioł na ganku spać, bo mu tam ten zając bardzo wonioł z kuchynie.

I tak sie rozeszli.

Ale cygon ani spać nimóg, co mu zając wonioł. I wachowoł pokryjomu kucharki, co zrobi z tym zającem.

Tak gdy przyszło, że i kucharka sie na spani udała, tak sie cygon nie staroł, czy sie mu pieknie śni, czy ni, jeny sie staroł, jakoby też jeszcze roz tego zająca dopaść. I chocioż było ćma jak w miechu — cygon jak kocur: po ćmi dopod, po ćmi zjod — a potem sie położył i społ.

I przyszło rano. Wielebny kozoł cygóna zegnać. Zegnali go i posłali ku farorzowi.

— No cygonie, jakoś sie wyspoł?

— Oj! wielebny panie, dziękujem bardzo: dobrze, jeny tego było mało!

— No, no, — mówi farorz, — tak powiedz cygónie, co ci sie pieknego śniło.

— Oj wielebny panie, mie sie bardzo pieknie śniło; jako zaś też Onym?

Wielebny pon mówi:

— Mie ci sie cygonie bardzo pieknie śniło, jeny mów ty przód, cygonie!

— Jo — wielebny panie — joch je ostatni. Oni, wielebny panie, jako duchowno osoba, to sie Im pierwszeństwo noleży.

Wielebny mówi:

— Mie sie śniło, że była drabina ze ziemie aż do nieba — a po ni sami aniołowie; a że mie ci anieli bedom brać do nieba.

Cygon sie po teraz trząs, jakoby ocyganić, ale se hnet poradził. Jak słyszoł ten sen od wielebnego, mówi:

— Ja, ja, wielebny panie, to je prowda, co Oni mówiom. Bo dyż jo Ich widzioł, jak Ich ci aniołowie do nieba po tej drabinie nieśli. I jo był tak rod, że już tam zustanom i takech sie śmioł, ażech sie obudził. I myślołech se, że Oni już tamstela nie przydom, i jo wzión zająca i zjod...

* * *

Panu farorzowi też nie szło o zająca: on jeny chcioł sprubować, jaki też je ten cygon chytry.

Tóż pocapkoł cygona po ramieniu, doł mu jeszcze cosi na poczęsnom — i puścił go.

Cygon podziękowoł, oblizoł sie i poszeł.

. . . . . .

I śmioli sie oba.

PIEŚNI LUDOWE.

1. ZACHODZI SŁONECZKO.

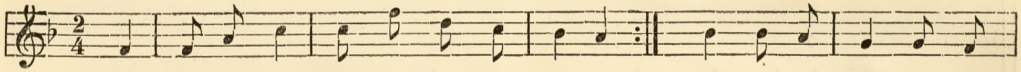

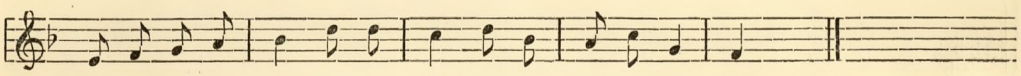

Ona: Już mnie tak obmierznął ten świat cały,
Że ten mój syneczek tak niedbały.
Oto jest poleczko niezorane,
Od mego syneczka zaniedbane.

On: Orane, orane, ale mało,
Bo mi się kółeczko połamało.

Ona: Gdy się połamało, daj go sprawić,
Naucz się, syneczku, gospodarzyć.

On: Już ja się nauczę gospodarzyć,
Tylko się ty, dziewcze, naucz warzyć.
Bo z ciebie nie tęga gospodyni,
Żaden się też z tobą nie ożeni.

(Z okolicy Bielska, zanotował melodyę i tekst Józef Londzin, ś. p. nauczyciel ze Zabrzega, z ust śpiewaka kościelnego w Łące przy Pszczynie).

2. ŚWIECIE, ŚWIECIE, ŚWIECIE MARNY.

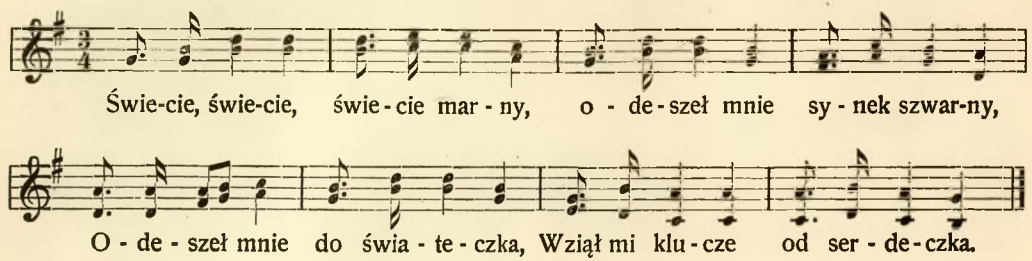

Umiarkowanie. Na chór mięszany ułożył A. Hławiczka.

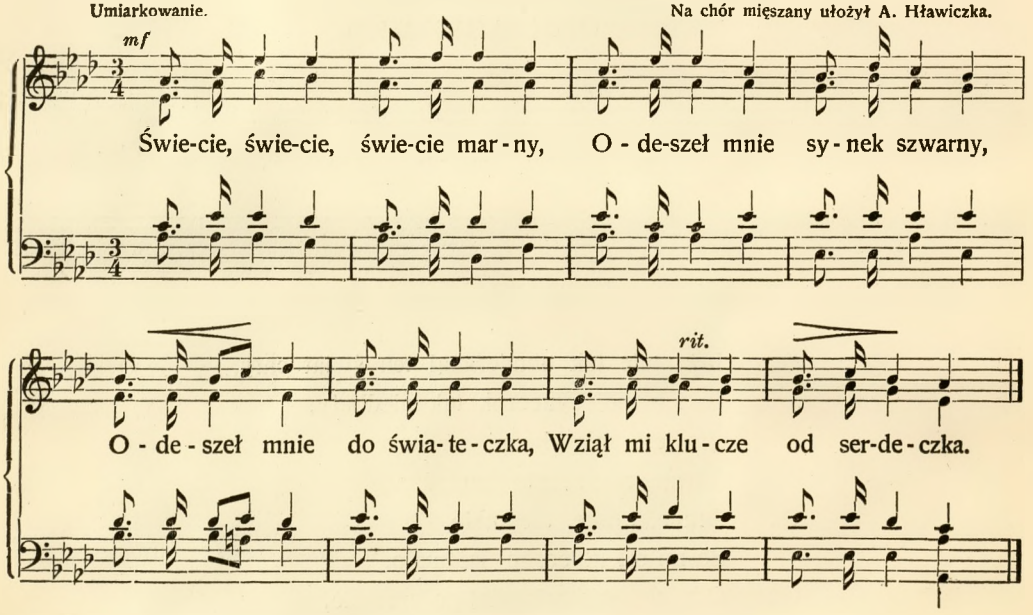

2. Wziął od mego i od swego,
Jechał do kraju cudzego;
Kazał sie mi nie staraci,
Że się znowu do mnie wróci.
3. Ja się starała nie będę,
Innego se szukać będę;
Znajdę sobie takowego,
Co ma klucze serca mego.
4. Co ma góry, co ma lasy,
Cztery konie, dwie kołasy,
A biczysko z paprociny,
Nie będzie ten, będzie inny.

(Z okolicy Cieszyna [z Dzięgielowa] zanotował A. Hławiczka, nauczyciel, z ust p. Karola, Kulisza, obecnie ks. w Kam. Ligotce, melodyę i tekst w roku 1895.)

3. ZAHUCZAŁY GÓRY, ZAHUCZAŁY LASY.

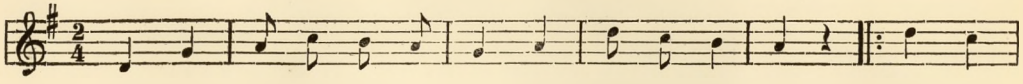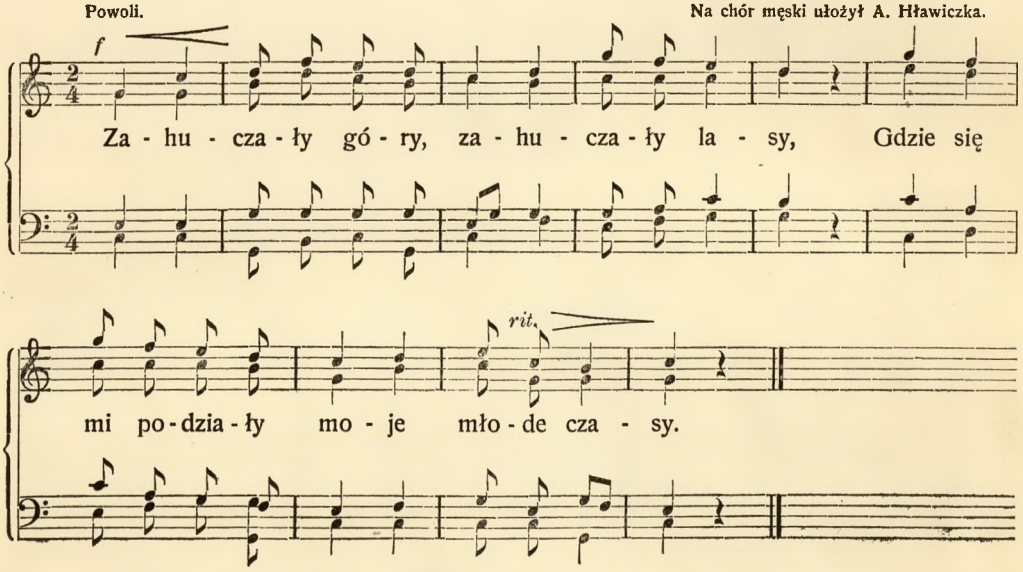

2. W zielonym gaiczku ptaszkowie śpiewają,
   Już mego miłego na wojnę wołają.
3. Wołają, wołają, już noga w strzemieniu,
   Pamiętaj ma miła o mojem imieniu.
4. Wołają, wołają, konik osiodłany,
   Komuż mię zostawisz, Jasienku kochany?
5. Zostawię ja ciebie temu, co jest w niebie,
   A za roczek, za dwa powrócę do ciebie.
6. Trzy lata minęły, jak się wojna toczy,
   Jużem wypłakała moje czarne oczy.
7. Wyjdę na góreczkę, tu ułani jadą,

Od mego miłego koniczka prowadzą.
8. Prowadzą, prowadzą, koniczek przykryty,
Podobno mój miły na wojnie zabity.
9. Nie płacz ty już tyle, nie żałuj ty tego,
Jedzie nas tysiące, wybierz se jednego.
10. Choćbym wybierała i nawybierała,
Nie było, nie będzie, jakiegom ja miała.
11. Choćby was tu było, jak na sośnie szyszek,
Nie było, nie będzie, jak mój nieboszczyczek.
12. Choćby was tu było, jak na morzu piany,
Nie było, nie będzie, jak był mój kochany.

(Z okolicy Cieszyna [z Sibicy], śpiewała Marya Górniakowa w r. 1898, spisał tekst i melodyę A. Hławiczka.)

Z. Kłośnik.

O TAŃCACH NARODOWYCH POLSKICH.

(Odczyt wygłoszony staraniem Towarz. Zabaw Ruchowych w sali ratuszowej we Lwowie). Lwów 1907. Nakładem Księgarni Maniszewskiego i Meinharta. Warszawa — E. Wende i Sp

Wyobraźmy sobie falę szeroką, co płynie przez świat, przekracza granice krajów, niejedno skruszy po drodze, niejedno z sobą zabierze, a płynąc wciąż, bez przerwy, zalewając kolejno wszystkie zakątki ziemi, wszędzie część swego urodzajnego namułu lub żwiru pozostawi... Taką falą płynie cywilizacya ludzka. Zmienia ona z biegiem czasu wygląd krajów i społeczeństw nie do poznania, niszczy wytwory rodzimej kultury, chciałaby wszystko zrównać, cały świat ubrać w jedną i tę samą szatę.

I u nas, w Polsce, niejedno zmieniło się pod wpływem tej ogólno-cywilizacyjnej fali. Dużo dobrego ona nam przyniosła, ale też i wiele zabytków starej naszej polskiej kultury zmiotła. Zmieniły się nasze zwyczaje, stroje, zabawy — a owe dawne, rodzime, piękne coraz bardziej wychodzą z użycia.

Książeczka p. Kłośnika mówi o tańcach i to o tańcach polskich. Dzieli je autor, zwyczajem tych, którzy przed nim ten przedmiot poruszali, na r e l i g i j n e, w o j e n n e i m i ł o s n e (towarzyskie). Z p i e r w s z y c h u nas tylko ślad pozostał: w obrzędach kupalnych, w pląsach dziewcząt przepasanych bylicą, i parobków wiejskich naokoło ogniska rozpalanego w wigilię św. Jana. Fala cywilizacyjna zapędza te kupalne ognie w coraz to dalsze zakątki kraju, a o tych pląsach, o których tak cudnie pisał Jan z Czarnolasu, dziś już tylko od niego właśnie dowiedzieć się możemy.

W o j e n n y m i tańcami były niegdyś: polonez, zwany dawniej „polskim“, „wielkim“ lub „wolnym“, i krakowiak, zwany w przeciwstawieniu do poloneza „małym“. P o l o n e z a określa autor jako taniec osiwiałych w boju rycerzy i senatorów poważnych. I zapewne nikt z nas nie zaprzeczy, że w polonezie jest ogrom-

nie wiele uroczystej powagi, majestatu prawie. Przypomnijmy sobie zwłaszcza którą z tych znanych nam wszystkich melodyj polonezowych n. p. to junackiej rozpaczy pełne „Pożegnanie Ojczyzny“ Ogińskiego, albo ten sławny Szopenowski polonez na wzięcie Warszawy, lub wreszcie żałobną „Cichą łzę“ Tymolskiego, a ową majestatyczną powagę tańczących par, uprzytomnimy sobie całkiem wyraźnie. Zachwycali się polonezem cudzoziemcy i dość słów pochwały dla niego nie mogli znaleźć. Dziś polonez, obok mazura, stał się tańcem znanym wszędzie i nierzadko rozpoczyna bale stolic europejskich. Z żalem atoli mówi autor (i trudno mu odmówić słuszności), że jednak dzisiejszy polonez w porównaniu z tym, jaki nam stare przechowały kroniki, bywa często tylko jego marną parodyą. Miejsce dawnej elegancyi ruchów i podniosłości zajmuje poza afektowana, sztuczna.

Obok poloneza najwięcej rycerskiego pierwiastku, zachował także krakowiak. W przeciwstawieniu do poloneza nazywa go p. Kłośnik tańcem „młodszej braci szlacheckiej“. „Był on nigdyś ....niezmiernie rozpowszechnionym wśród ludu krakowskiego i wśród szlachty całej Polski. Wyszedł z ludu i ukształciła go szlachta robiąc z niego swój ulubiony taniec z podobnemi jak w polonezie cechami“. Z krakowiakiem jednak „cywilizacya“ nie obeszła się tak uprzejmie, jak z polonezem: wypchnęła go z salonów. Dziś tańczy się go rzadko; należy do tańców „pośledniejszych, poniewieranych“.

Jeszcze bardziej zapomniano o obertasie i kujawiaku, a o cenarze, galardzie, gonionym, stryjence i drabancie ledwo ze słuchu, ze wzmianek starych pamiętnikarzy wiemy.

Jeden tylko taniec, prócz poloneza, nie stracił nic na znaczeniu dawnem, owszem granice Polski przekroczył, stał się znanym i cenionym w całej Europie — to mazur. „Nie utracił też nic, a przynajmniej bardzo niewiele ze swego pierwotnego charakteru, bo pomimo wszystkie utyskujące jego zmanierowaniem głosy, stanowczo zaprzeczyć się nieda, że nie zanikła w nas ta odziedziczona po przodkach naszych umiejętność, niedoścignionа dla innych, nawet pokrewnych nam, słowiańskich narodów, że potrafimy wzbudzić w sobie jeszcze, gdy zajdzie tego potrzeba, wrodzoną nam, a niezbędną tutaj dziarskość i że bądź co bądź, jeżeli już nie wszyscy, to dużo, bardzo dużo jest takich Polaków, co jeszcze mazura niezgorzej od ojców i dziadów naszych tańczyć potrafią. Że tak jest, najlepszem świadectwem te nie udane zachwyty cudzoziemców o naszym sposobie tańczenia mazura. ‚Któż nie zna — pisał między innymi Siewiercow w tygodniku *Priroda i ludi* z r. 1899 — tych pełnych życia i gracyi, porywających tańców. Trzeba je widzieć wykonane przez Polaków, żeby pojąć cały ich urok i oryginalność, szczególnie mazura: nie-Polak, chociażby tańczył najpiękniej, nie wykona go jak należy. Nasi mazurzyści, to nędzni naśladowcy tancerzy-Polaków,“.

Drobna rozmiarami (31 stron) jest p. Kłośnika praca o polskich tańcach, ale daje nam ona o nich wyobrażenie jasne. I powinniśmy tę małą książeczkę chętnie poznać, bo to uczciwy i patryotyczny głos z niej się do nas odzywa, abyśmy szanowali to, co nasze, i nie dawali sobie tego zabrać. „Pielęgnowanie — mówi p. Kłośnik — szanowanie starych zwyczajów — to nie szowinizm, to patryotyzm prawdziwy, to miłość Ojczyzny!“

F.

MATERYAŁY.

GODKI LUDOWE.

1. Utopiec.

U nos mieszkou jedyn chuop; nazywou sie Manuś Szajka. Censto sie uon popijou, a potym sie chciou bić ze wszyckimi. No i roz tyż szeu bez te orzegowske uońki, bo miyszkou na Bobrku, a uopity jak wdycki. Już bou niedaleko tego mostu, co to tam jest na tyj rzece, jak sie idzie z Orzegowa na Bobrek, i widzi tak pod gauęziom tyj staryj gruszki, jednego mauego chuopca z cerwonom copkom na guowie. Tyn synek mu droga zastawio i ani rusz go niy chce puścić.

Ale mój chuop sie niy bou. — Ty smarkocu, — mu wouo — co mi ty mos droga do zastawianio. — I już ci go chyto za kragel. Ale synek, choć mauy, bou barźij gibki jak tyn pijok, bo to bou utoplec. Hyciou go za nogi i wlece go bez tyn most do tyj rzyki. Bou by go utopioł, ale chuop drapko dopod jednyj deski i trzimo sie fest. Tyn utoplec go ciągnie do tyj rzyki za te nogi.

Cauo noc sie tak tyn chuop tropiou, aż dopiyro na rana śli pachouki z Orzegowa z roboty i wyciągli go.

Ale chuop miou take nogi zgniecione i zmuocone, iż musiou sztyrnoście dni leżeć w lozarycie.

Tak padocie, iź utopca niema. Jo wiem, iże jest, bo mie samej postraszou, jak ech szua roz w nocy bez te uońki. Wonoł mi do ucha: I-chu-chu! A-ha-ha! Joch sie tak lenkua, ale jo rzykaua drapko mój różaniec. Uod tego casu już nigdy niy ida bez te uońki w nocy, a jak musza iś bez dzień, to sie wdycki przeżegnom.

(Opowiadała Franciszka Cieślik z Bobrku przy Bytomiu.)

2. Utopiec czyli wasermon.

Mój starzik moc a moc opowiadali o utopcu, czyli o wasermonie, a każde słowo o nim robiło na nas, dzieciach, okropne wrażeni, bo nom sie zdowało, że ten wasermon może w nocy prziść i nas zebrać, lub w izbie utopić. Nie robiłoby mu to kłopotu, kiej mu do tego wystarczy bai łyżka wody, byle nie święconej. Wszyckigo nie mogłech se spamiętać, co tam starzik naopowiadali, ale coś mało wiela jednak jeszcze wiem, to powiem.

Otóż roz, a jest już temu mnoho roków, bo starzik wtedy ledwo byli ożenioni, jakosi na Matke Bożom, gazda wypowiedzioł starzikowi kwartyr i musieli sie na święty Jon wykludzić. Wynajli se izbeczke za rzykom. Akurat wtedy rzyki wyloły, jakto u nas często bywo. Mostu blisko nie było i tak starzik wzięli se Ponbóczka na pomoc i chcieli z furom w płytszym miejscu przejechać, bo już woda dość upadła. Jadom se tak przez wode, a tu bync, wóz dostoł sie zadnimi kołami do jakisikej dziury. Nie było co robić, musieli wszycko niechać tak. Tata starzików prawiom: — Porynczono Panu Bogu! Jo wyprzongnym konie i pojadym do gazdy, a ty Pawle tu musisz na wozie za wachtarza zóstać. Do jutra woda opadnie i bedymy mogli coś zrobić. Teraz sie już śćmiewo, a woda jeszcze dość wysoko. — I pojechali. — Noc już zapadła. Starzik ułożyli sie wśród rupiecio na wozie i wachują. Jakosi kole północy słyszom żbluchtani we wodzie. Dźwigli głowe i widzą, że jakoweś straszydło idzie ku nim. Miało to postać bardzo kudłatego psa. Na starzika strach piznół, przeżegnali sie i czakali, co bedzie dali. Wasermon — bo on to musioł być — przi-

szeł aż ku wozu, oprzył przedni nogi czy też ręce na wozie i dziwo sie na starzika. Oczy mu sie świeciły, jak kocurowi. Starzik leżeli cichutko, ani sie nie ruszyli, ba, nawet oddech zadzierżeli. Wasermon widzi, że sie nie ruszajom i pyto sie ich: — Spisz? Spisz? Spicie? — Starzik nic. Postoł jeszcze chwilke i poszeł. Pewno myśloł, że starzik już są mortwi i nima ich co topić.

Tych wasermonów musiało być więcej, może był w każdej wodzie jeden, bo rozech słyszoł o wasermonie, co kańsi przi Cieszynie w Olzie mieszkoł. Chodził z koszicżkem do Cieszyna na mięso — tak słyszeli starzik od starych ludzi — i był znomy w Cieszynie. Roz też przisżeł na to mięso i kozoł se dać wyrzozków, bezma za szustke. Dziuboł tak palcem po tych kąszczkach i wybieroł se bardzi niż jaki pon. Masorzowi sie to nie podobało i klupnół go nożem czy też ocylkom po palcu i bezma mu go aż konsek ucion. Wasermon sie rozgniewoł i prawi: — Poczkej, szak jo se to zapamiętom! — Za dwa tydnie masorz ten jechoł na cielęta na dziedzine. Trefiło mu przejechać przez wode. Wjechoł, ale już nie wyjechoł, utopił sie razem z koniem i bryczkom. To była zemsta wasermona.

O, ten nie doł nic grać ze sobą. Przisżeł bai do ludzi, porozprowioł, a jesi mu gdo nie robił paskudy, to mioł od niego pokój. Przisżeł też bai pytać o co, n. p. kiszke, syr i t. d. Dowali mu, aby mieć pokój. Roz pachołek od jednego siedloka jechoł w obiadowej godzinie przez wode. Wasermon utopił go. Gazda sie bardzo zasmucił i narzykoł na niewdzięczność wasermona, bo mu już nieroz coś od obiadu podoł. Za pore dni wasermon przisżeł zaś o coś pytać. Gazda sie rozgniewoł, a gaździno go chciała poloć święconą wodą i prawią mu: — My ci tak dobrze tu robimy, a ty nom na przeciwność pachołka topisz i żeby to jeszcze pachołka, ale z nim porc koni, a w dodatku fuksa była zgrzebno. Jużech se zgrzybie ofiarowoł na plymiono, a teraz wszycko stracone. — Gazdoszkowie, nie gniewejcie sie — powiado wasermon. Cobyście wy robili, dyby wom gdo na miske wjechoł, a ten pachołek tak mi zrobił. Obiadwołech wtedy i akurat mi obiod zniszczył. Jo wom to zapłacim.

I tak sie stało. Przisżły deszcze i wody wyloły. Ten gazda mioł pole przi rzyce. Już mu sie zdało, że wasermon sie jeszcze roz pomści, ale katać tam. Woda sie skręciła i przyczyniła mu kęs urodzajnego pola. — (Napisał Jan Sznurowacki według opowiadania ojca Karola [49 lat, z Cieszyna]. Druga część, o siedloku, napisana według opowiadania Karola Heczki z Gnojnika w roku 1888, który wtenczas miał 12 lat i słyszał bojkę tę od swego starzyka.)

o o o

3. Chłop przyszeł na żałobe!

Roz przyszeł chłop do sądce i prawi: — Panie sondco, jo przyszeł zażałować naszego folwartera, bo mi chcioł dać pięć w pysk.

Sondca: — Jakóż tak wiesz, że ci chcioł dać pięć w pysk, może ci jeny chcioł dać trzy. —

Chłop: — Jakóż by mi był chcioł dać jeny trzy, kiedyż mi doł pięć. —

Sondca: — Na nacóż prawicie, że wom chcioł dać, kiedyż wom doł. —

Chłop: — No, bo nejprzód chcioł, a potym doł; kieby niechcioł, to by nie doł. Dają to hnet do sądu, bo jo już czakom na trzycet koron, bo tych dwacet bydzie isto sąd kosztować, a za pięć bani sie należy pięćdziesiont.

o o o

4. Cygon na spowiedzi.

Szeł roz cygon ku spowiedzi, a niewiedzioł, kan sie chodzi, czy do kościoła, czy do fary; ale bo był bardzo głodny, tak go ciongło do fary, a że tam cosi obliźnie, a na spowiedź ganc zapomnioł. I wlos do fary i odewrze piersze dwierze, i uwidzioł taką niskom odmaryj, a na ni leżoł złoty

zygarek, a cygon go łap i zawinył go do papióra i ucieko z fary do kościoła, ażeby ludzie niezobaczyli, żeby on co móg ukraść. I jeszcze przyszeł na konsek kozanio i słyszy od faroża, jak prawi, że niesprawiedliwość musi wyńść na wyrch, czy zaroz, czy nieskorzy, i on tesz nabroł strachu i spomnioł se, że sie z domu od starej wybroł iść ku spowiedzi i tu jeszcze ku temu słyszy z kazatelnice, jako farosz mówi, że człowiek w stanie grzechu mo ciężko na sumieniu, a jak sie wyspowiado, że mu ulży i szczęśliwy je. Jak jeszcze ty słowa cygon usłyszoł, tak zaroz szeł ku spowiedelnicy i czakoł, skoro przydzie ksiądz, a jak go ksiądz uwidzioł przy spowiednicy stoć, tak zaroz go szeł spowiadać, bo sie boł, że cygonowi cierpliwości chybi a uciecze. I tósz sie cygon spowiado, to i owo, i nareszcie mówi: Jo ukrod zygarek. A farosz prawi: Mosz go jeszcze? — Ja. — Tósz go wróć, a więcej niebier, a żałuj za to, coś zrobił. A cygon pomału dobywo zygarek zawiniony w papierku i dowo go farożowi. A farosz mówi: Jo go nie chcym, dej go tymu, komuś go ukrot. — A cygon prawi: Dyć tyn, czyji je, tyn prawi, że go niechce. — Farosz: Kieś mu go już roz dowoł, a niechcioł go, tósz se go podzierż! I cygon uradowany prawi: Ponbóczek zapłać! I był cały szczęśliwy, jak dostoł rozgrzeszyni. A farosz nic nie wiedzioł, aż jak przyszeł z kościoła do domu, tu widzi, że zygarek ukradziony, i spomnioł se na cygona, że mu zygarek dowoł, że to tyn musioł jsto być jego, idzie do kościoła, że sie jeszcze tego cygona spyto, ale z cygona już ani kudła w kościele nie było. I farosz se pomyśloł, co sie stało, to sie już niewróci, i tóż muszę niechać tak.

5. Zaros a zofort.

Idzie hólan po hulicy i potkoł sie z bogatymi ludźmi, to byli pon i pani. Było to na wonskim tretuarze, kiedy sie mijali. I hólan niechciejomnie zaźdźioł szpornom po tej pańskij sukni i roztargoł ji jom bardzo. I zaroz biere pon hólana, aż zofort idzie snim do sklepu kupić takom samom suknie, ale borok hólan, nimioł piniendzy, i pyto: Panoczku, pyty, darujcie mi to, bo jo hólan, nimom piniendzy. Ale panoczek mówi: To mie nic nie obchodzi, było nie potargać! A jak teraz piniendzy nimosz, to cie niechom zaros zawrzyć. A jak sie tak dosyndzowali, tu je naros policaj. I panoczek kozoł holana zebrać na wachcymre i som z paniczkom tesz tam szeł. I tam prawiom tymu najstarszymu nadpolicajowi o co im idzie. Panoczek mówi, że ta suknia kosztuje sztyrycet koron, a że jich chce zofort widzieć, a jak ni, że go zawrzyć, aż mu to zapłaci. A hólan pyto, aż go niezawierajom, żeby jeszcze i u wojska był korany, a że on zaros bydzie do domu pisać po ty piniondze, a że do dwóch dni to panoczkowi zapłaci. Ale panoczek, że to musi być zaros albo sofort, a jak, że do locha. A tyn wachcymerkomendant znoł tego hólana, bo on był porzondny, a widzioł uwziętego panoczka i tak to hnet rozsondził. — Jo ci hólanie pojczom ty piniondze, aż ci z domu przydom. I doł ich panoczkowi sztyrycet koron, i jak panoczek piniondze odebroł, tak prawi wachmistrz z hólanym, aż zaros a zofort paniczka suknie sewleko, a idzie we spodnicy do sklepu nowom se kupić, kiedy se hólan te potarganom zapłacił. Ale panoczek z paniczkom do pytanio! Ale hólan prawi: Wyście to chcieli zaroz a zofort, a jo tesz to chcym zaroz a zofort. Panoczek już chce piniondze wrócić, że on niechce nic, ale hólan tesz prawi, że kiedy mu on zrobił gańbe, że mu on tesz zrobi gańbe. Ale panoczek już dowo roztela nazoć, a hólan jeszcze niechce przywstać, aż jak mu za te gańbe na tuplok niedo! I panoczek doł jednak sztyrycet koron i poszeł niemal z bekem od złości. A hólan sie podzielił z wachmistrzym i śmioli sie od radości i hólan idzie z wachcymry i mówi z Bogem.

(3. 4. 5. opow. Karol Gil z Cieszyna.)

KSIĘGARNIA

G. GEBETHNERA I Ski

W KRAKOWIE, RYNEK GŁ. L. 23

TELEFON NR. 377. KONTO POCZTOW. KASY OSZCZĘDNOŚCI 852.924.

POLECA:

Wielki wybór książek w różnych językach, we wszystkich działach wiedzy i beletrystyki, jako też **książek do nabożeństwa** w oprawach od najskromniejszych do najwykwintniejszych.

Mszały, brewiarze, diurnaliki, kanony.

Nowości krajowe i zagraniczne w języku polskim i obcych otrzymuje niezwłocznie po wyjściu.

Księgarnia **pośredniczy w przyjmowaniu przedpłaty na wszystkie pisma peryodyczne** krajowe i zagraniczne **po cenach redakcyjnych.**

Katalogi własnych i obcych wydawnictw, jakoteż **„Katalog nowych książek", Miesięcznik bibliograficzny** dostarcza na żądanie **bezpłatnie.**

Osoby zamieszkałe w Krakowie, zgłaszać się zechcą po odbiór do księgarni; na prowincyę wysyłamy podług wskazanych adresów, o których nadsyłanie upraszamy.

Zamówienia z prowincyi załatwia z całą sumiennością i możliwą szybkością, **na żądanie za zaliczeniem pocztowem.**

Bibliotheca Solana Gaditana